



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Niewiasta

Liczba stron oryginału

48

Liczba plików skanów

48

Liczba plików publikacji

51

Sygnatura/numer zespołu

CZ III 00480

Data wydania oryginału

1898

Projekt/Sponsor digitalizacji

Dofinansowano ze środków WPR Kultura+



**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**



**NARODOWY
INSTYTUT
AUDIOWIZUALNY**

KULTURA+

01 001
Digitalizacja



Wydawczyni i kierowniczka redakcyi: Helena Hempel w Cieszynie.

Wychodzi 2 razy na miesiąc. — Kosztuje rocznie 1 złr. półrocz. 50 ct

Zyczenia na Nowy Rok matce włościance.

Z tym Nowym rokiem, o siostró miła,
Tego ci z serca będę życzyła:
Naprzód, niech łaska zastępów Pana,
Na każdym kroku cię nie omija.
Niech całe życie, Niepokalana
Ma cię w opiece święta Marya.
Niech życie twoje jak pszczoła w lecie,
Pracy się własnej poi słodyczą,
A gdy ci smutek serce przygniecie,
Z którym się chwile radości liczą,
To nie narzekaj, nie smuć się matko,
Boć nie ostatnie może to latko;
Bóg dobry wszystko tobie przemieni,
Nagrodzi ziarnko garncem w jesieni.

Lecz abyś szczęścia zażyła w życiu,
 Wychowaj w dobrem małe swe dziatki,
 Strzeż je, pielęgnuj, jak przy rozwiciu
 Skrzętny ogrodnik hoduje kwiatki.
 Gdy ci je na świat Bóg zesłać raczy,
 Strzeż je, starannie od wszego złego,
 Bo ci w przyszłości Bóg nie przebaczy,
 Jeśli sumiennie nie spełnisz tego.
 Niech usta twoje kłamstwa nie znają,
 Ręka nie szuka cudzej własności,
 Uszy słów dobrych tylko słuchają,
 Głuche na zgubne pokus dążności.
 Niech tylko prawość ci towarzyszy,
 Choćby cię sroga nędza smagała;
 Twoją modlitwę Bóg twój usłyszy,
 Byleś mu tylko szczerze ufała.

Lecz łatwo małe przejmuje dziecię,
 Z innych przykładu, grzeszne nałogi,
 A ty nie chciałaś matko, przecie,
 Ażeby zeszło z uczciwej drogi.
 A więc, gdy dobry Bóg zeszele tobie,
 Twego aniolka, twoją pieczętę,
 To, droga siostró, pamiętaj sobie,
 Byś weń najpierwej wszczepiała cnotę
 Miłości ludzi, miłości Boga,
 Bo te dwie cnoty pierwsze dla życia,
 Niemi do nieba otwarta droga,
 Wpajaj je w dziecię już od powicia.

Pracą zatrudniaj wedle sił jego,
 Nie sądź, że dziecię do niej za małe,
 Bo jak próżniaka wychowasz z niego,
 To mu już życie zmarnujesz całe
 Czyń zawsze dobrze, bo ono widzi,
 Twym się przykładem ucząc najwięcej,
 Brudnym występkiem, niechaj się brzydzi.
 Strzeż pilnie duszy jego dziecięcej:
 Niech czyny jego prawość cechuje,
 Przez dochowanie danego słowa,
 Niech cnotą sobie drogę toruje,
 Bo dobre imię, szczęścia połowa.

Matko włościanko, w tobie spoczywa
 Szczęścia ojczyzny naszej zadatek;
 Ty narodowe żywisz ogniwa
 I będziesz wielką wśród polskich matek.
 Gdyś sama prawa, syn prawym będzie,
 Córka twa prawe syny wychowa,
 I zajmiesz miejsce w najpierwszym rzędzie,
 Jako Rzepicha żona Piastowa.
 Ona nam Mieszka, króla chowała,
 Jej plemię berło wieki dzierżyło,
 Za Piastów Polska szczęścia doznała,
 Gdy Piasty zgaśli, szczęścia ubyło.

Jak ty, włościanką Rzepicha była,
 I kądziel prządła, w roli kopała,
 Prawość i cnotę w syna wszczepiła.
 Choć jeszcze wiarę pogańską miała.
 Ciebie Bóg stworzył w prawdzie Kościoła
 I karmi prawdą tą życie całe,
 Pamiętaj, gdy cię na sąd powoła,
 Złóż Mu je czyste na Jego chwałę!

Malwina J.

Za późno.

Marta młynarka wstąpiła raz z rozdartym butem do Walentego, młodego szewca, aby jej zszył go na poczekaniu. Była ona wdową, ale że żyła rok tylko z mężem, nie wyglądała na wdowę, a co do urody, to drugiej takiej we wsi nie było. Smukła jak topola, miała żywe na licach rumieńce, a czarne oczy błyszczały jej jak dwie gwiazdeczki.

Walenty but rozdarty w mig jej sprawił, ofiarowanej zapłaty nie przyjął, a za to, z młodzieńczej pustoty, chciał ją na pożegnanie serdecznie uściskać. Ale spodkał go zawód; Marta była dzika i nieprzystępna. Odepchnęła go silnie i śmiejąc się, wybiegła z warsztatu.

Walenty zawołał za nią: — Nie, to nie! Obejdzie się! — Ale hardość ładnej młynarki, tak go ujęła, że przez kilka dni ciągle tylko o niej myślał. Wreszcie, taka zdjęta go tęsknota, że pod jakimś zmyślonym pozorem, poszedł do młyna. Posiedział chwilę, pożartował, spróbował zalecać się, — ale odszedł z niczem, jak i przyszedł. Od tego czasu jednak, coraz częściej zachodził do młyna, bo młoda wdowa przypadła mu bardzo do serca. Ile razy wracał z młyna, mówił do siebie:

— Taka, to w sam raz na żonę dla mnie!

Pewnego dnia, zagadnął ją wprost:

— Słuchajcie, Marto, coś wam powiem.... udaliście mi się bardzo... Pobierzmy się....

Marta wiedziała, że on nie żartuje, więc też wprost odrzekła:

— I wyście mi się udali i poszłabym za was, jeno się boję, bo niespokojny z was człowiek. Za często lubicie zaglądać do kieliszka i zanadto wam do smaku wesółą kompania.... A ja widzicie, chcę męża dla siebie i domu, a nie dla kogoś tam!

Walenty, że był prędki w słowie, obiecał jej, iż odtąd tylko dla niej jednej żyć i pracować będzie. I stanęło na tem, że po świętach wielkanocnych pobiorą się.... Zmienił się też zupełnie odrazu, pracował gorliwie przez cały dzień, nie zaglądając do karczmy, wieczorem zaś szedł do młyna gdzie długo w towarzystwie młynarki przebywał. Tak trwało cały tydzień. Gdy jednak nadeszła sobota, stawał się nagle, jakby innym człowiekiem. Zamiast do młyna, biegł wieczorem do karczmy, gdzie go już kieliszkowski towarzysz czekał. Innych złych nawyczek pozbył się, tej jednej nie potrafił. —

Tak było pierwszej soboty, drugiej, trzeciej i następnych. Każdego poniedziałku jednak, gdy po pijatyce wytrzeźwiał, powracał do roboty, a wieczorem spieszył do młyna. Były tam gniewy, sprzeczki, lecz gdy młody szewc na klęczkach przeproszał Martę i zaklinał się, że zgrzeszył po raz ostatni, młynarka, choć surowa, dawała się dotąd zawsze przebłagać i wracała zgoda i weselość — aż do następnej soboty, w której znów się to samo powtarzało.

Wszystko jednak ma swój koniec. Kiedy ostatniego poniedziałku powrócił do młyna skruszony i poprawę obiecujący, nie poznał Marty. Na wszystkie jego przemowy i tłumaczenia nie odezwała się do niego ani słowem. Udawała nawet, że go wcale nie spostrzega. Odszedł więc i powrócił nazajutrz. Lecz nazajutrz i na trzeci dzień powtórzyło się to samo. Wówczas odezwała się w nim przekora.

— Nie, to nie! — rzekł do młynarki przez zaciśnięte zęby. — Nie chcesz ty mnie znać, to i ja ciebie więcej nie znam. Obejdzie się!

I w złości ją pożegnał. Było mu teraz wszystko jedno.

— Niech świat przepadnie zemną razem, dosyć mi już tego! — powtarzał sobie raz, po raz. — Czy to ja jej pies, abym jej słuchał? Czy to ona tylko jedna na świecie?

Zaciął się i postanowił nie zbliżyć się do niej więcej, nie wrócić do niej, a nawet wybrać się ze wsi, ażeby jej już nigdy nie widzieć. W dwa dni posprzedawał niepotrzebne sprzęty, zabrał trochę bielizny i narzędzi w tobolek i oto puścił się już w świat, przed siebie.

— Niech ona wie, że ja nie jestem jej pies i że wolno mi robić, co mi się żywnie podoba.

A jednak tak mu czegoś trudno odejść, tak zupełnie, raz na zawsze.

— Et! nic to!.... Trzeba iść!.... Czas.

Wstał, przeciągnął się, zeszedł z pod figury na gościniec i wolnym krokiem podążył naprzód. Lecz po pewnym czasie przystanął i obejrzał się. Tam, w dole, na prawo migotało wciąż czerwone światelko, czasem przygasając, to znowu rozpalając się jaśniej, jakby mrugając na niego.

— Ciekawym też, co ona robi tak długo w noc? — mruknął.

I zatrzymał się znowu.

— Co mi tam zresztą do tego! — dodał zaraz.

Szedł dalej.

Po chwili stanął jednak znowu i znowu się obejrzał. To czerwone światło nęciło go ku sobie jakoś dziwnie a nieprzeparcie. Zapatrzył się w nie, aż go oczy z tego boleć poczęły i zaszyły łzami. Uczuł też naraz jakiś szum w głowie i wielką dżdżyność w piersiach.

Szedł na przelaj przez pola, potykając się czasem w ciemnościach.

Noc to była niewidna, oranina, pod nogami topniejących śniegów wiosennych rozmiękła, a on sam... niezupełnie trzeźwy.

Przed chwilą zaledwie opuścił karczemną izbę. Wyszli za nim ztamtąd aż przed próg wszyscy znajomi i kompani dobrzy, z którymi niejeden wieczór spędził przy kwaterce. Wyszedł kowal Grzela i gospodarz pan Wasiewski i Chlanda gajowy i sam karczmarz nawet, a wszyscy oni ściskali go za ręce i żegnali i całowali z wielkiem rozczuleniem. I jemu samemu cieżko było bardzo na sercu, bo oto odchodzi od nich na zawsze, porzucał ich, aby więcej już nie wrócić.

W ostatniej chwili chcieli go jeszcze zatrzymać.

— Ot, zostańcie z nami, panie Walenty — mówił kowal Grzela. — Czy to wam tu źle? W miasteczku i bez was dużo takich, co kunszt szewski prowadzą, a tu na dwie mile wokoło, wy jeden tylko szewc, więc i honor jest i o zarobek łatwo. Zostańcie!

Ale on nie dał się zatrzymać.

— Trudno, stało się. Co ma być, niech i będzie. Mnie tu z wami nie żyć więcej. Bywajcie zdrowi!

— Uparł się przy swoim, jako też zawsze bywał zawzięty, wyrwał się gwałtem z ramion kompanów, pokłonił się im czapką, poprawił tobołek na plecach i ruszył.

Degnał go Chlanda, gajowy.

— Hej Walek! — rzekł — jakżeż ty możesz ztąd odchodzić! Cóż będzie z nią?

— Niby z kim?

— A z Martą, młynarką... Toć mieliście się pobrać po świętach?

— A niedoczekanie jej! — zaklął Walenty i zaciśniętą ręką pogroził przed siebie.

Chlanda patrzył na niego milcząco.

— Szkoda o tem mówić! — dodał po chwili Walenty łagodniej. —

Szkoda mówić... Bywaj zdrów, kamracie!

Jeszcze raz zdjął czapkę i zatoczywszy się nieco, począł iść żwawo, jakby chcąc uciec ze wsi co rychlej... Uszedł kilka staj, a ogarnęły go zewsząd nocne mroki i chłód przesyconego wilgocią powietrza. Zrobiło mu się jakoś smutno w duszy, ale zarazem uczuł także jakby gniew do Chlandy, że przypominał mu o tej...

— Niech ją tam!... Toż przez nią tylko uciekam ze wsi.

Ażeby ukrócić sobie drogę, nie poszedł dalej gościńcem, lecz wprost przez pola, pod górę, ku lasowi. Tam dopiero, tuż obok kamiennej figury, zejdzcie znowu na gościńiec i pójdzie już nim prosto, prosto przed siebie. Zanim zaświta, musi stanąć aż hen, w trzeciej wsi, u przydrożnej karczemki. Ztamtąd już łatwo o sposobność do miasteczka.

Szedł i potykał się czasem. Cicho było dokoła... Tylko w bródach szumiły wody, zbiegające w dolinę i z doliny dolatywał niewyraźny huk wezbranej rzeki i staby klekot młyńskiego koła.

Zanim dotarł do połowy wzgórza, chłop choć młody i silny, zmęczył się i zasapał. Mąciło się też mu w głowie od wychylonych półkwaterek.... Rozpiął więc kapotę, odkrył głowę i włosy z czoła zgarnął.

— Byłe tylko do figury, dalej już fraszka!

Szedł znowu, potykał się, grzązł w błotnej roli, wreszcie po dobrej godzinie dotarł do szczytu... Był u figury. Tu zatrzymał się i odetchnął głęboko.

— Uf! Zmachałem się na nic... No, nie szkodzi... Odpocznę krzynek i pójde...

Przeżegnał się przed figurą nabożnie, a potem usiadł na jej kamiennem podmurowaniu; twarzą był teraz zwrócony ku wsi, którą porzucił.

Daleko, w dole, migotały przed nim słabe światełka, niby gwiazdy, po ziemi rozsiane. Rozpoznawał z tych światełek, niekóre. Ot, to wielkie na lewo, to na plebanii, u dobrodzieja... To żółte w pośrodku, to w karczmie, tam Chlanda i Grzela i gospodarz siedzą zapewne jeszcze za stołem i rozmawiają o nim. Po za żółtem w głębi, małeńkie i niepewne, to u kowala; tuż obok jego domu miał on warsztat do niedawna... To wreszcie czerwone światełko, zdala od innych, to w młynie...

— Świeci się jeszcze u niej!...

Nad tem ostatniem światełkiem, choc nie chciał, zatrzymał Walenty swój wzrok najdłużej, im dłużej zaś patrzył, tem dziwniej mu było, że teraz, po nocy, znajduje się sam jeden za wsią, że ucieka ztąd na zawsze, ażeby już nie wrócić.

I jakżeż to przyszło do tego?

Przypomniało mu się wszystko od czasu, jak poznał tę tam... młynarkę.

— Taka ona, taka ona, — zaczął wreszcie mówić do siebie, na poły z gniewem, na poły żałości — taka nieludzka, sroga — a jednak tak coś ciągnie do niej... Niech ją tam! — przecież ja do niej nie wrócę!

Chciał puścić się dalej, lecz nie mógł; wydawało mu się, że jest pijany, albo też, że przyszedł do ziemi. Spróbował podnieść się, nie potrafił, a oczy, jakby mu kto przywiązał do owego światełka.

Wreszcie uczuł zawrót w głowie i poznał, że traci zmysły. Uczyniwszy ostatnie wysilenie, krzyknął dwukrotnie w stronę młyna, potem jęknął głucho, pochylił się naprzód i zaczął się staczać nieprzytomny ze wzgórza....

W młynie, w obszernej izbie, siedzi za stołem młynareczka i dziwnie jakoś patrzy przed siebie. Przed nią na stole leży otwarta książka do nabożeństwa, bo modliła się jak zwykle, przed udaniem się na spoczynek. Lecz dziś sen nie przychodzi jej na oczy. Czeladź już śpi dawno, a ona słucha tylko szumu wezbranej rzeki i jednostajnego turkotu koła. Czegoś jej straszno dzisiaj, czuje że sama, nikogo przy niej uie ma.

A jednak byłby on przy niej gdyby nie jego nałóg i nie jej hardość... Niech wie przecie, że ona mu nie ustąpi...

Jednakże, gdyby teraz jeszcze wrócił, kto wie, czyby mu nie przebaczyła. — Ale on już nie wróci — zanadto uporny!...

W tem, myśli jej przerwał jakiś odgłos z dala idący. Drgnęła i wychyliła głowę przez okno. Zdawało jej się, że jakiś głos, dobrze znany, wołał ją po imieniu....

Zaparta dech, nadsłuchując....

Za chwilę znowu się jej wydało, że słyszy ten sam głos, ale bliższy i wyraźniejszy...

Porwała się ze stołka i podbiegła do okna. Przytuliła twarz do szyby i czekała czas jakiś. Wreszcie otworzyła okno i wychyliła się na zewnątrz..

Nic. Pusto dokoła, żadnego ludzkiego głosu nie słysząc. Woda tylko szumi i wzbiera, a wzbiera....

Z pospiechem zawarła okno i wróciła na dawne miejsce przy stole. Wzięła książeczkę i usiłowała się modlić. Ale daremno!

Dziwnie jej jakoś było tego wieczora i nie swojsko, jak jeszcze nigdy przed tem.

Gajowy Chlanda i kowal Grzela, rozwodząc się nad przymiotami szewca Walentego, zasiedzieli się zbyt długo przy kieliszku i zaglądali dość zbyt głęboko, ażeby potem mogli byli ważyć się na bezwzględny powrót do domu, wśród nocy, na niepewnych nogach, przez rowy i opłotki, a zwłaszcza przez kładkę w około młyna, przez którą im jednak obu przechodzić wypadało.

Poradzili też sobie, jak umieli i podścieliwszy sukmany, przespałi się doskonale: jeden na ławie, a drugi na stole karczemnym...

Zaledwie jednak świt zabłysnął, porwali się obaj i z pospiechem wyszli przed karczmę, a potem na drogę wiodącą ich do domu.

— Zawsze to będzie przykładniej — zauważył przytem Grzela filozof, — gdy słońko Boże na nas w domu czekać będzie!

— A jużci — powtórzył Chlanda, ale podrapał się w głowę, pomyślawszy, że oprócz słońka czeka nań w domu i żona, która kto wie, czy będzie rada z tak „wczesnego“ powrotu!

W skutek tego przypomnienia może, Chlanda zasępił się strasznie i w milczeniu doszli obaj z Grzelą do młyna.

Tutaj jednak musieli się zatrzymać. Kładki na rzecę widać nie było z pod wody; wszędzie zaś naokoło, gdzie wczoraj puste jeszcze leżało błonie, kołysały się fale brudne, mętne, spienione, na płytszych tylko miejscach różniące się lekko od wschodzącego właśnie słońca. Młyn wyglądał jak skała stercząca wśród jeziora, a grobla do niego wiodąca była jedynym wolnem jeszcze od zalewu pasmem ziemi.

— O rety! — zaklął Grzela — to ci przez noc wezbrała! Bez mała i młyn zabierze! Jakżeż my się teraz na drugi bok przeprawimy?

Chwilę stali bezradni, w tem przypomniał sobie Chlanda, że przy młynie tuż u stawideł, widział uwiązaną łódkę.

— W niej się przeprawimy, ot i tyle!

Poszli więc przez groblę, ku młynowi, lecz nagle, Chlanda krzyknął, szarpiać za rękaw towarzysza:

— Grzela, patrz..... ot, tam, na prawo!

Grzela spojrział i zobaczył tuż obok parę nóg wystających z wody i zaczepionych o związanie mostu. Reszta ciała, popychana falą ku dołowi, znikła na chwilę pod pianą, a ukazując się znów na wierzchu, podnosiła się jak żywa i tłukąc o ścianę młyna, zdawała się domagać wejścia....

— Jezus! — zawołał Chlanda — ktoś utonął!...

— Jezus! — powtórzył Grzela, przypatrując się, gdy ciało znów się na wierzchu ukazało — ta kapota — ten tobolek.... tożto Walenty!

Byli to rzeczywiście zwłoki butnego szewca, który wczoraj jeszcze wybrał się z wioski aby już do niej nie wrócić, — i choć wrócił do niej, to już martwy.

Gdyby nie był tak zacięty, a Marta gdyby więcej była wyrozumiałą i cierpliwą, nie byłiby sobie złamali szczęścia na tej ziemi, które im się uśmiechało!



Za jałmużnę.

Jeśli kiedy sierota stanie ci u proga
I wynędziała rękę wyciągnie po datek,
Pomnij, że jest to poseł od dobrego Boga,
Któremu miłosierdzia masz z płacić podatek.

To co dzisiaj z współczuciem udzielisz sierocie,
Kojąc serca tęsknotę i nędzy żałości,
Zmieni się kiedyś w niebie na setki i krocie,
Które mi Pan szafuje w nagrodę litości.

O znaku krzyża przy śmierci.

Człowiek przez cały żywot swój, jest męczennikiem wśród wojny i męczennikiem wśród pokoju. A czemu jest przy śmierci? Czyż także nie męczennikiem! Oto złożony chorobą, opuszczony od świata, widzi się otoczony tylko rodziną i przyjaciółmi, którzy mu nie pomódz nie mogą. Poza sobą widzi tylko przeszłość, która mu się z pod stóp usuwa; przed sobą, wieczność, która nadchodzi i która ma go pochłonąć bezpowrotnie, a żadna siła ludzka nie jest w mocy opóźnić, tej jego podróży do innego świata, ani osłodzić jej okropności.

Ten chory, umierający, — to obraz każdego człowieka. Ja co to piszę i ty, co to czytasz, będziemy kiedyś w jego położeniu; nie minie to ubogiego ani bogacza, sługi ani króla! Jeśli więc wśród walk żywota potrzebujemy niebieskiego światła, siły pociechy i pokrzepienia, potrzeba nam ich stokroć więcej w stanowczej chwili śmierci. Otóż znak krzyża jest tą pomocą. Był on drogim dla naszych ojców, jakże więc i dla nas drogim być powinien!

Męczennicy niegdyś za wiarę na śmierć skazani idąc na stracenie, nie zapomnieli nigdy uzbroić się znakiem krzyża. Jużśmy wspominali, iż chrześciance pierwszych wieków znak ten mieli w czci i w ciągłym użyciu, aby złagodzić boleści męki i uświęcić śmierć swoją. Podamy jeszcze kilka przykładów:

Święty Grzegorz mówiąc o swej ukochanej siostrze świętej Makrynie, której towarzyszył w ostatnich chwilach życia, powiada o niej, iż miała ona zwyczaj powtarzać: — „Panie, tyś dał tym, co ci się boją, ten znak swój święty, aby mieli opiekę w życiu i mogli nieprzyjaciela zmusić do ucieczki.“ Mówiąc te słowa, święta Makryna kłada to знамя cudowne na oczach, ustach i sercu. — Brat jej, święty Grzegorz Nazyjanzeński, uprzedzając szatana, tak mówił do niego:

— „Jeśli poważysz się napastować mnie w chwili śmierci, strzeż się, bo gdy znak krzyża uczynię, będziesz musiał haniebnie uciekać.“ —

Pierwsi chrześciance zamiast czynić przy śmierci znak krzyża ręką, czynili go przez rozłożenie rąk. Zwali oni to ofiarą wieczorną. W takiej to postaci święty Antoni znalazł świętego Pawła pustelnika. Tak samo

umarł święty Ambroży, który kilka ostatnich godzin życia konał z rozkrzyżowaniem rękoma. Święty Eutychiusz, biskup medyolański, dotknięty dreszczem śmiertelnym, przetrwał siedm dni ostatnich na modlitwie, krzepiąc się bez ustanku znakiem krzyża. Z świątobliwych królów francuskich, o kilku mówi podanie, iż czując śmierć bliską, cześć oddali temu znakowi: Karol Wielki wyciągnął osłabioną rękę, i o ile zdołał to uczynić, zrobił nią znak krzyża na czole i piersi. Syn zaś jego, Ludwik Pobożny, czując skon nie-daleki, kazał, by przy nim odmawiano nocne modlitwy, położywszy mu na piersiach relikwię świętego krzyża. Przez ten czas, o ile siły mu dozwoliły, czynił także krzyżyki na czole i sercu, a gdy się tem zmęczył, prosił aby mu czynił to brat jego. Król Robert, jeden z jego następców, umierając, wzywał wszystkich świętych na pomoc i kładł krzyżyki na przyrządach pięciu zmysłów. Ludwik zwany grubym, gdy przeczuwał koniec życia, rozkazał rozłożyć na ziemi kobierzec, a na nim posypać popiół w kształcie krzyża. Gdy go położono na tem łóżku, przypominającem ostatnie łożo kalwaryjskie, dobry ten król znaczył na sobie krzyżyki aż do skonu.

Święty Zenobiusz, przyjaciel św. Ambrożego, podobnie umierał. Gdy św. Paula miała konać, córka jej nieustannie kładła znaki krzyża na ustach i piersi swej matki, starając się osłodzić jej ostatnie cierpienia tą zbawczą pieczęcią.

Widzimy więc, iż przy życiu i śmierci, znak krzyża był u przodków naszych, w nieustannem użyciu, jako źródło światła, siły, poddania, odwagi i nadziei. Jakże wielką jest jego waga i skuteczność! Miejmy to na pamięć, gdy życie nasze będzie już na schyłku!

Listy od Czytelniczek „Niewiasty“.

Szanowna Pani Pustelnik! Cieszy mię to, że jedna ze współczelniczek odezwała się znów w naszej „Niewieście“ bo do tego czasu zaledwie trzy, lub cztery, się takich znalazło, które coś napisały; ale to tak dłużej nie może być; powinniśmy wynagrodzić nasze milczenie i jak która umie, tak się rozpisać, o różnych rzeczach, które nas zajmują, bo to już taka nasza niewieścia natura, że jak się nie wygadamy, to nam gorzko w ustach. I tak jest nie tylko u nas w Polsce, ale na całym świecie. Naprzykład tu w Siedmiogrodzie, gdzie mieszkam, byłam raz świadkiem, jak dwie madiarki, wyszedłszy do studni z cebrzykami na głowie (bo tu tak noszą), ponieważ to była pierwsza godzina i widziały, że mają przed sobą dość czasu, zaczęły rozmowę i to w ten sposób, że nim jedna swoje skończyła, to druga zaczynała i pomimo, że cebrzyki na głowie trzymały, jednak rozmowy dokończyć nie mogły dopiero rozpędził je odgłos trąby fabrycznej, który oznaczał koniec dziennej roboty o 6-tej godzinie, a żadna z nich do tego czasu nie pomyślała o wieczery dla męża, która miała być już na 6 stą gotową.

Owóż na wzór tych dwu niewiast, którym pewnie lżej było po wygadaniu się, spróbujmy także wypowiedzieć, co na sercu nam leży, a taką wymianę listów w „Niewieście“, będzie jakby rozmową między siostrami, które widzieć się z sobą nie mogą ale choć setkami mil oddalone, porozumiewać się z sobą będą mogły.

Bogu Was oddaję kochane siostry i wzywam do wspólnej rozmowy.
Lupeny — w Siedmiogrodzie. Rozalia Ciko.

Złote ziarnka.

Za czezym honorem niech goni pycha,
A skarbów, złota, niech chciwość strzeże;
Rozkoszą niechaj żądza oddycha...
Lecz nie w tem szczęście, — wierzej mi szczerze.

Jeżeli szukasz dobra trwałego,
Znajdziesz je tylko w życia mierności,
We wspomaganiu brata swojego,
I w nieustrudzonej bliźnich miłości.

Dziesięć przykazań dla młodych żon.

1. Unikaj pierwszej sprzeczki z mężem, ale jeżeli on ją rozpoczął, a ty się czujesz niewinną, nie przerywaj jej, ale staraj się, tak go przekonać, aby uczuł że masz słuszość i poznał jak przykrą jest kłótnia.
2. Pamiętaj, żeś pojeła za męża, człowieka, nie anioła; przeto nie dziw się jego wadom i ułomnościom.
3. Nie napastatuj go częstemi prośbami o pieniądze. Bacz na to, aby ci wystarczyła ta suma, jaką on przeznaczył na domowe potrzeby.
4. Choć ci się zdaje, że twój mąż nie ma serca, to nie prawda; czasem tylko jego żołądek jest w nieporządku; a ty najlepiej postąpisz, jeżeli będziesz się starała przyrządzać mu zdrowe pożywienie.
5. Pozostawiaj mężowi ostatnie słowo. Jeśli nie zawsze, to od czasu do czasu.
6. W gazetach nie tylko czytaj o fraszkach i drobnostkach ale również i o poważnych rzeczach, abys mogła pomówić z mężem o sprawach, które go zajmują.
7. Bądź zawsze serdeczną względem niego. Pamiętaj, że gdy był twym narzeczonym, patrzyłaś na niego z miłością i poważaniem; nie pragnijże i teraz go lekceważyć.
8. Daj mu poznać, w tem, lub owem, że jest mądrzejszym od ciebie; będzie mu to przyjemnem.
9. Bądź mu pomocniczką, jeśli jest człowiekiem rozumnym, a staraj się podnieść go ku sobie, jeśli jest ograniczonym.
10. Poważaj rodziców jego, a zwłaszcza jego matkę, która wpierw jeszcze go ukochała, niżeli ty.

Gospodarstwo.

Niemłócony owies, jest według zdania wielu gospodarzy, daleko lepszą karmą dla koni, niż sam owies w ziarnie jako obrok i słoma do niego należąca jako pasza, osobno koniom podawane.

Również bardzo dobrą karmą jest sieczka ze siana, pomieszana z owsem i zwilżoną wodą, daleko jednak rzeczą prostszą, wygodniejszą i tańszą jest karmienie koni niemłóconym owsem. Karm taka jest naprzód dla tego korzystniejszą, ponieważ koń zjada ziarno razem z wielką częścią słomy, co mu

się ma dobrze do trawienia przyczyniać, a po drugie, oszczędzoną zostaje młocka. Owies jednakże trzeba rząść wcześniej nim zupełnie dojrzeje, a to dla tego, aby się przy żłobie nie wysypywał. Karma ta ma być bardzo polecenia godną przez zimę i konie mają z niej znakomicie wyglądać.

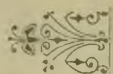
Rozrzucanie nawozu na śnieg nie jest środkiem polecenia godnym, szczególnie na nierównym pochyłym, falistym, a do tego zmarzniętym gruncie, a to z bardzo prostego powodu. Gdy tylko nastają odwilże i roztopnieje śnieg, to ten zabiera ze sobą wiele rozpuszczalnych części nawozu, które prawie bezpowrotnie dla roli giną.

Dla tego powinniśmy się starać o wywożenie nawozu w czasie, w którym rola nie jest zamarzniętą, ani pokrytą śniegiem.

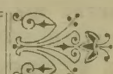
Leczenie stłuczonych lub zranionych nóg u koni i bydła. Przy nadwyżeniu członków bydła, dotąd używane powszechnie okładów z zimnej wody, nawet z lodem mieszaną. Daleko skuteczniejszem jest trzymanie stopy, lub całej nogi zwierzęcej wogrzaną w letniej wodzie przez całą godzinę, jeśli można. Przy tem jednak, bolące i suchłe miejsce trzeba mocno obwiązać podłużnym kawałkiem płótna, zmoczoną w mięszaniu, która się robi z równej ilości wody, płynu zwanego Arnika, oraz terpentynowej żywicznej tynktury (te dwie rzeczy kupić trzeba w aptece). Gdy płótno na nodze wyschnie, trzeba je zaraz w tejże samej mięszaninie namoczyć. Tak leczone zwierzęta, zwłaszcza konie, mogą już w parę dni potem iść w drogę, jako wyleczone.

Wszy u bydła wygubić można, jeśli się zwierzęta natrze rzepakowym olejem. Na drugi dzień zaraz rano, musi być zwierzę starannie wyczesane, a potem obmyte mydlinami z szerego mydła. Dobrze jest także, przeciw wszom, czyścić bydlę szeszotką zmoczoną w oleju lnianym. — Trzecim sposobem jest nacieranie mięszaniną zrobioną z gotowanego tytoniu, prostej wódki i mydlanej wody. Tą samą mięszaniną dobrze też jest skrapiać ziemię, ściany i żłoby w stajni, aby przeciw robactwu się zabezpieczyć.

Przeiw zarazie bydła dobrym jest środkiem woda żelazna, którą się do wody do picia dolewa. W tym celu dodaje się do wody do picia dla bydła, nieco witryolu żelaza. (tyło, ilo wejdzie na koniec noża).



RADY DOMOWE.



Bielizna pierze się dobrze, bez tarcia, w ten sposób: Na dzień przed praniem g tuje się fant mydła szarego w 2 litrach wody. Tym roztworem wychłdżonym nieco, zwilża się rozłożoną na stole bielizną, p-czem zwiija się ją mocno, wkłada się w wannę i polewa gorącą wodą, w której rozpuszczono trochę sody. — Tak zostawia się przez noc. Nazajutrz stawia się kocioł z zimną wodą na ogień — i gotuje się bieliznę 20—25 minut mieszając kopytką. Na mniejszym ogniu stawia, się drugi kocioł z wodą zawierającą mydło i sodę. Gdy się zag tuje, daje się bieliznę na 20—30 minut do drugiego kotła, skąd powinno się zupełnie czystą wjąć. Gdyby jeszcze pozostały gdzieś plamy, natrzeć je roztworem szarego mydła i gotować na nowo w roztworze, jak wyżej.

Bielizna łatwo i prędko się pierze, gdy rozpuścimy 2 fanty mydła w 13 litrach wody, dodamy łyżkę terpentyny i 2 amoniaku. W tym roztworze moczyć trzeba bieliznę 2 do 3 godzin.

Te ułatwione sposoby prania zaoszczędzają wiele pracy i czasu.

Jeżeli np. płótnianka zasmaruje się mazią, trzeba przed praniem, plamę namoczyć terpentyną, a plama zejdzie. Jeśli niema terpentyny, dobrze też jest użyć mleka i plamę trzymać w niem tak długo, dopóki nie zejdzie. Plamy z żywicy t y l k o terpentyną dadzą się wywabić.

Gdy po wypraniu jest co do krochmalenia, to najłatwiej przyjdzie użyć krochmalu, czyli skrobiu, w domu sporządzonego z dzikich kasztanów, lub ziemniaków. Aby skrob taki zrobić, trze się na tarce kasztany lub ziemniaki na misie, zlewa się zimną wodą i nalewa świeżą, aż w końcu sam tylko krochmal na dnie zostanie. Jest on biały i gęsty. —

Do wyrobu płótna najważniejszą jest rzecz mieć dobre, mocne nici. Płótno bielić należy na słońcu jedynie przez polewanie wodą. Zle jest, gdy ktoś słuchając niemądrej rady, domowe szare płótno chce odrazu wybielić jakimś sztucznym środkiem, a mianowicie, przez dodanie chlorku do wody, którą płótno się polewa. Chlorek bowiem gryzie i niszczy nici i takie płótno staje się kruche i rychło się drze potem.

Bielenie nici. Po zdjęciu z motowidła namoczyć w letnim ługu na 24 godzin, potem w ługu kilkanaście razy przeprać, prażyć na gorącym trzonie, nie dopuszczając zagotowania i znowu prać, potem namydlić, zamoczyć w letniej wodzie i prażyć jak poprzednio.

Wywabianie plam z bielizny, ze zleżenia powstałych robi się w ten sposób. Do litra deszczówki dodaje się jedną garść soli kuchennej i 5 gramów salmiaku, potem ta mieszanina gotuje się przez pół godziny, a następnie zwilża się tą cieczą plamy i suszy na słońcu. Jeżeli plamy nie znikną za pierwszym razem, powtarza się tą czynność dwa razy lub więcej, dopóki się nie stracą.

Przeciw żółknięciu bielizny skutkuje następujący środek: Do niebieskiej wody, przy farbkowaniu bielizny, dolewa się 3 łyżki spirytusu i 1 łyżkę terpentyny; potem bieliznę suszy się na słońcu lub bardzo jasnym miejscu, a wybieleje.

Środek przeciw wzdęciu u krów, kilka ząbków czosnku kraje się drobno i gotuje w litrze mleka, potem mleko tak przyrządzone, wlewa się do glinianego garnka, nakrywa przykrywką i stawia w stajni, w bezpiecznym miejscu. Im dłużej mleko stoi i silniej skwaśnieje, tem jest pomocniejsze. W razie wzdęcia, daje się krowie ćwierć lub pół litra tego leku i powtarza się tak długo, aż wzdęcie ustanie. Krowie, która trudniej trawi i z tego powodu łatwo się wzdyma, można przez kilka dni z rzędu dawać ten prosty, a pomocny środek.

ROZMAITOŚCI.

Paradna dziewczyna. W Bremie (w Niemczech) przyaresztowano niedawno niejakiego Zelika Bletsteina, oskarżonego o udział w handlu dziewczętami. Ujęcie tego człowieka nastąpiło w skutek odwagi i sprytu Ludwika Michalakówny, mieszkanki powiatu radzyńskiego, która na ostatku była kwiecieńską w jednej z pracowni warszawskich. Ludwika w miesiącu czerwcu poznała jakiegoś Schmidta, który ją namówił do wyjazdu za ocean, t. j. do

miasteczka Buenos Ayres w Ameryce, niby do objęcia dobrej posady w magazynie mód. Dziewczyna zgodziwszy się, namówiła jeszcze swą przyjaciółkę, Karolinę Ośmiałowską, aby jej towarzyszyła. Obie dziewczyny, przybyły z owym Schmidtem do Bydgoszczy, gdzie przyłączył się do nich ów Zelik Bletstein, również z dwoma towarzyszkami. Następnie Schmidt znikł, a Michalakówna po przybyciu do Bremy zmiarkowała dopiero, że je oszukano i mają być wywiezione i sprzedane. Ponieważ wyjazd okrętem opóźnił się, gdyż oczekiwano jeszcze przybycia kilku sztuk „żywego towaru“, Michalakówna, udała się pod opiekę jakiegoś księdza, który rozumiał trochę po polsku. Wskutek tego Bletstein został uwięziony i sprawa cała poszła pod sąd. Michalakówna i Ośmiałowska dostały na razie zajęcie w Bremie, lecz wkrótce wrócić mają do kraju. Strzeżcież się dziewczęta, ponętnych namów nieznanym i niepewnym ludzi, bo to najczęściej są tylko sami niecni żydowscy faktorzy, którzy korzystając z waszej łatwowierności, cześć waszą i cnotę do zatury przyprowadzają!

Złodzieje na jarmarku. Pewien gospodarz okolicy Radomska, w gubernii piotrkowskiej, sprzedawał na jarmarku w mieście parę wołów drożej, niż się spodziewał. — Wiesz, matko, — mówi do żony, — kiedyśmy uchowali takie ładne bydłeta, to mogę sobie kupić kozuch, — Posłyszał to złodziej, który miał już tego gospodarza na oku, zbliża się więc co prędzej i powiada: Hej ojczu! ja także muszę sobie kupić kozuch, więc chodźmy razem. — Poszli we troje do kozusznika i zaczęli kozuchy oglądać. Złodziej wybrał jeden i mówi: Przymierzcie ojczu, w tym będzie wam do twarzy. Gospodarz zdjął sukmanę, a wdział krzuch. Złodziej mu pomagał, pozapinał kozuch mocno na guziki, a z boku spoglądał na sukmanę leżącą na krzeselku, bo wiedział, że tam były pieniądze, które gospodarz wziął za woły. Nagle obróciwszy gospodarza plecami do krzeselka, porywa sukmanę i myk za drzwi! Gospodarz obejrawszy się, dalejże za nim w poгон! A kozusznik za gospodarzem, i krzyczy: Trzymajcie złodzieja! Ukradł mi kozuch! — Zatrzymano gospodarza, zdarto z niego kozuch i odprowadzono do kozy jako złodzieja, a prawdziwy złodziej poszedł sobie w świat z pieniędzmi i sukmaną. — Wkrótce potem zdarzył się znów w Radomsku na jarmarku drugi podobny wypadek. Jedna kobieta siedząc na furze, liczyła pieniądze otrzymane ze sprzedarzy krowy i prosiła. — Bogu dzięki, jest co do grosza 40 rubelków! — Związała pieniądze w szmatkę i chowa w zanadrze. Wtem zbliża się jakiś „panek“ i mówi: — Ratujcie matko! wpadł mi w oko jakiś proch i okrutnie mi dolega. Może uda się wam go wyjąć. — Kobieta z początku się bała, ale „panek“ obiecał dać za fatygę 20 kopiejek, więc zaczęła mu oglądać oko. Lecz zanim cokolwiek w niem znalazła, złodziej wpięrował się i wyciągnął jej szmatę z pieniędzmi. — Wicie, zawołał — nie mnie już nie boli. Dobra z was kobieta, że się tak litujecie nad cierpiącymi. — Dał jej czterdziestkę i poszedł. Kobieta ucieszona niespodziewanym zarobkiem, wyglądała z niecierpliwością męża, który jeszcze coś kupował. Gdy nadszedł, zaraz się przed nim pochwaliła. Ale chłop, jukby coś tknęło. — A gdzie masz pieniądze? — pyta. Baba sięga w zanadrze, a tu ani szmaty, ani pieniędzy. Wtedy dopiero nieboga poznała, jaką i komu wyświadczyła usługę!

Nieszczęśliwa księżniczka. W Sycylii wyszedł na jaw w tych dniach dramat, którego by się nie powstydzila najbujniejsza fantazyja powieściopisarska. Osia tego dramatu jest księżniczka Carini, rozwiedziona od piętnastu lat z mę-

żem swoim markizem Collato. Księżniczka po rozwodzie żyła w nędzy, nie ona jednak zatruwała jej życie. Jej jedynaczka przyszła na świat ślepą. Ma ona obecnie już lat dwadzieścia, a nie odczuwa cierpienia ślepoty, bo matka, czuwając nad swą córeczką z bojaźliwą troskliwością, umiała w nią wmówić, że wszyscy ludzie są ślepi. Córką księżniczki Carini nie zna dotąd słów: światło, ciemność, barwy, spojrzenie, piękność. Temu lat pięć odziedziczyła księżniczka po jakiejś swojej bezdzietnej krewniej wielki majątek i wspaniały pałac w Palermo naprzeciwko *Piazza Allerigo Gentile*. W tym pałacu zamieszkała księżniczka pół pierwszego piętra, a drugą połowę, aby okazać swoją przychylność i zaufanie, odstąpiła swemu pełnomocnikowi Janowi Cannela, człowiekowi znanemu i posiadającemu liczną rodzinę. Temu lat cztery stała się rzecz straszna. Pewnego dnia księżniczka Carini, chcąc wyjść na miasto, zastała drzwi swoich apartamentów zamknięte. Okazało się że drzwi zamknąć kazał Cannela. Krzyki i płacze nie pomogły. Pełnomocnik zagroził jej, że jeśli nie przestanie wołać o ratunek, to ją zabije, a córce zdradzi, że jest nieszczęśliwą, bo są piękności na świecie, których ona nie widzi. Zakazał jej również pokazywać się przez okno, lub dawać o sobie jakiegokolwiek znak życia osobom mieszkającym po za pałacem, a wszystko to uczynił w tym celu, aby wymusiwszy od niej najkompletniejsze pełnomocnictwo, módz majątek jej zupełnie dla siebie zagarnąć, Cannela w dokonaniu tej zbrodni miał współpracowników w żonie i sługach pałacu, których albo przekupił, albo zteroryzował. Gdy się kto pytał o księżniczkę powiadał portyer: „Księżniczka wyjechała na kilka dni, nie pozostawiając adresu.” Tak minęły cztery lata, w których Cannela znęcał się nad księżniczką, dając jej głód cierpieć i znęcając się nad nią groźbą, że córce wyjawia straszną tajemnicę jej ślepoty. Cannela do tego stopnia był chciwym, że sprzedał nawet urządzenie pomieszkania, w którym ją uwięził. Pokój w którym była zamknięta, miał nagie ściany i pryzę. Sam Cannela przynosił jej również skromne pożywienie. Niechęć jednego ze służby do ckrutnika wyjawiała całą sprawę wobec adwokata w Palermo, dra Maltezo, który natychmiast zawiadomił władzę o tej niesłychanej zbrodni. Policja otoczyła nagle pałac, wkroczyła do jego wnętrza i uwolniła dwie kobiety, których radość graniczyła z szaleństwem. Cannellę aresztowano w sądzie, gdzie załatwiał jakąś sprawę nie wiedząc o tem, że jego zbrodnia wyszła na jaw. Aresztowano również jego żonę i całą służbę pałacową. Sprawa ta wywołała w Palermo usprawiedliwioną sensację.

Z pod Gliwic. Tych dni zaszedł we wsi okolicznej następujący wypadek. O rękę pewnej dziewczyny ubiegało się równocześnie dwóch młodzieńców i długo nie można było powiedzieć, kto ostatecznie z nich zwycięży, Franek czy Michał. Wreszcie dziewczyna postanowiła wyjść za pierwszego. Dano więc na zapowiedzi w urzędzie stanu cywilnego i w kościele i tego poniedziałku miał już być ślub. W oznaczonej na to godzinie zjawili się dziwnym sposobem znowu równocześnie ci obaj współzawodnicy i wtedy Franek tak zaczął dogadywać młodej paninie i rodzicom, że w końcu młoda panna odmyśliła się i postanowiła wyjść za Michała. Ślub więc odroczono, dano ponownie na zapowiedzi i za trzy tygodnie odbędzie się ślub z Michałem – jeżeli się dziewczyna naturalnie nie namysli znowu inaczej.

Szczególny podarunek otrzymała niedawno pod Katowicami (pod zaborem pruskim) matka jednego rekruta, wziętego w jesieni do wojska. Dano jej na pocztę wielki worek nieopłacony, za który zapłacić musiała 2 marki i 70 fenigów (to jest około 1 złr. 60 ct.) Ręce jej drżały przy otwieraniu paczki, w której znalazła wreszcie strużyny czyli łupiny z ziemniaków, oraz zużyte rękawice wojskowe. Przy tem był list tej treści: „Kochana matko! Mustry już się nauczyłem, a że się sprawuję dobrze, wzięto mnie do kuchni, gdzie strużę kartofle dla całej kompanii razem z kilku kolegami. Strużyny tutaj wyrzucają, ponieważ w kompanii nie ma świń, jak u was w domu, Pomyślałem sobie, że takie strużyny się przydadzą w domu dla wieprzka, nazbierałem ich więc cały worek i przesyłam do użytku. Stare rękawice już mi nie potrzebne, a że teraz zimno nastaje, więc kochanej matce się przydadzą.“

Rekrut ten dobrym widać był synem, ale lichym rachmistrzem, bo łupiny zaledwie warte były 30 ct. Jednak pocziwa matka przejęła z czułością, ten dar synowski. Strużyny dała trzodzie, a rękawiczki, ponieważ były białe, posmarowała czernidłem od butów. Wziąwszy je na ręce, poszła do miasta, gdzie musiała zanieść jakiś toboł. Spociwszy się ze zmęczenia, ocierała twarz rękami w malowanych rękawicach i przyszła do miasta z poczernioną twarzą. Zbiegli się na jej widok ludzie, którym musiała opowiedzieć całe zdarzenie. Było więc dość śmiechu.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych Sióstr Czytelniczek.

Z rozpoczętym nowym rokiem, wydajemy dalszy ciąg numerów naszego pisma, które dotąd niedość regularnie pajawiać się mogło. W Bogu nadzieja iż przeszkody które krępowały wydawnictwo „Niewiasty“ usunięte będą i pismo wychodzić będzie w czasie oznaczonym i pod względem zawartych artykułów, rozwijać się będzie pomyślnie. Wy kochane Siostry, dopomóżcie temu także, pisząc listy, które mogłyby być w gazecie tej umieszczane oraz nadsyłając należną zapłatę. Przypominamy, iż abonentki, które nadesłały po 1 złr. mają opłacone 24 nra, tj. 14 z zeszłych lat, a 10 które wyjdą w bieżącym roku. Te, które złożyły po 50 ct. mają opłaconych 12 nrów, a więc prosimy, aby dalszą przedpłatę nadesłały. Wreszcie nadmieniamy abonentkom, które do tego czasu nie nie nadesłały (bo są i takie), że niniejszy nr. „Niewiasty“ jest ostatnim jaki im wysyłamy. Która więc z nich życzy sobie dalej pismo otrzymywać, musi się zgłosić i zaległość wyrównać.

OGŁOSZENIA.

Odnaczona medalem państwowym z wystawy w Bielsku w r. 1890.

Pracownia brązownicza

Fr. Maryniaka w Końskiej,

(pocztą Trzynieć na Śląsku)

poleca swego wyrobu kościelne lichtarze, krzyże, dzwonki ołtarzowe i wszystko co wchodzi w zakres tego rzemiosła. Przyjmuje tanio wszelkie reperacye oraz przedmioty do niklowania, srebrzenia i zlocenia.

Odpowiedzialny redaktor Franciszek Krukowski. — Druk K. Studenckiego w Czacy.



Wydawczyni i kierowniczka redakcyi: Helena Hempel w Cieszynie.

Wychodzi 2 razy na miesiąc. — Kosztuje rocznie 1 złr. półrocz. 50 ct

Do matki polskiej.

Niewiasta, jako matka, żona i siostra, ma wielkie zadanie do spełnienia, ale aby wykonała godnie to, co jest jej przeznaczeniem, musi się dobrze z tem obeznać i często przed Bogiem rozważać.

Wartość całego narodu zależy od wartości matek, sióstr i małżonek. Gdzie niewiasty będą pełne ducha pobożności i siły uczucia, tam szczęśliwy naród nie przestanie być narodem walecznym i niepodległym.

Wiedzano już o tem w najdawniejszych czasach, w starożytności, i narody pragnące chwały ze swego bohaterstwa, miały głównie na celu wyrobienie silnej woli w niewiastach, upatrując w tem wróżbę dzielności swych wojowników. Jeżeli więc tak myślały narody pogańskie, o ileż więcej chrześcijanie tak się zapatrywać powinni!

Pan Jezus, jak wszystko na ziemi, tak i duchową godność niewiasty, w cudowny sposób podniósł i uświęcił; dał jej moc kształcenia dusz, pobudzania ich do rzeczy wielkich i przekazywania im najpotrzebniejszych i najdroższych dla ludzi pojęć, jakimi są: Bóg, sumienie, godność, czystość, sprawiedliwość.

Stosuje się to do wszystkich kobiet bez wyjątku i do wszystkich czasów. Nadeszły jednak teraz lata takiego jakiegoś zwątpie-

nia i niechęci, że w naszych czasach szczególnej pomocy duchowej ze strony niewiast potrzeba. Przyjdzie twój syn, matko, z pomiędzy zepsutych ludzi, wśród których po świecie przebywał, przyjdzie mąż z dalekiego zarobku, który z nałogowymi towarzyszami gdzieś prowadził, zgębiony, zmęczony na ciele i duszy, zasiądą do ogniska domowego, zapytując: — „I na cóż to życie?“ — Trzeba aby matka czy żona na zapytanie to im odpowiedziała, ale trzeba, aby jej serce było tak silne, iżby i swoje i swoich kachanych cierpienia znieść i osłodzić mogło. Tylko niewieście dana jest siła do spełnienia tego wzniesłego zadania.

Drogie siostry! czegoż duszom waszym życzyć należy, abyście spełniły ten wielki obowiązek, jaki Bóg wam przeznaczył? Oto przedewszystkiem: **Królestwa bożego!**

Człowiek bez Boga, to zwierz niebezpieczny, ale kobieta bez Boga, to potwór. Biada takiej niewieście! Choćby miała i co dobrego w sobie, będzie to tylko udaniem i podstępem. Niewiasta będzie zawsze aniołem ogniska domowego, albo stać będzie nisko — jak bydlę.

Z mężczyzną nigdy zrównać się nie będzie mogła. Będzie panowała nad jego sercem, lub zdepcze on ją nogami. Potrzeba jej piętna bożego; nieszczęsna ta, która go nie pojmie!

Duszy niewiasty trzeba przedewszystkiem Boga, zawsze i wszędzie, ale szczególniej w nieszczęściu. Powinna ona, tak jak te figury święte, co oczy i ręce ku niebu zwracają, wzrokiem przez mgłę doczesnych cierpień przedzierając się, ku Bogu podążać. Boga powinna ona wskazywać mężowi, aby nie popadł w rozpacz, Boga niech wskazuje synom, aby uwierzyli przyszłość.

Więc powinność przekazania synom i córkom najczystszych i najpewniejszych przekonań religijnych i narodowych ciąży dziś przedewszystkiem na polskich matkach. Dziecię, które kiedyś spotkać się musi w życiu z zepsuciem i zbrodnią, zwłaszcza to, które zmuszone wyjść z domu i zdala od pieczy rodzicielskiej wśród obcych, miesiące i lata spędzać, — jeśli w domu jeszcze, będzie miało przez matkę umysł uzbrojony w pojęcia jasne, silne i niewzruszone, przejdzie bezpiecznie przez życie, ustrzeże się obłędu i zachowa wśród najgwałtowniejszych pokus i sprzeczności, stały rozum i wiarę żarliwą. Sama walka z tymi nieprzyjaciołmi duszy, przyczyni się do umocnienia wiary, a obraz rozstroju i nieszczęsnych skutków niedowiarstwa, jakie ujrzy w około siebie, na świecie stanie mu się dowodem, że to tylko zawiera prawdę, co wyniosło w sercu z domu, z nauki świętobliwej kochającej matki.

Ale ta matka musi być sama tak ugruntowana w enocie i roztropności, aby umiała dzieciom ich udzielić. Od samego niemowlęstwa, rozum i wiara matki mają przechodzić z jej serca, w umysły dzieci i rosnać z każdym postępem wzrastającego żywota, wtedy będzie moc i życie. Matki więc muszą mieć obok łagodności i w y k s z t a ł c e n i e.

Niechże się kształcą niewiasty polskie pracą umysłową, nauką rozmową ze światłymi ludźmi, czytaniem dzieł jędrnych i poważnych; bo to tylko może wzmocnić i podnieść ich umysł. Serce niezawodnie jest jedną z głównych dźwigni człowieka; jest zdolne do najszlachetniejszych porywów, — ale tylko wtedy, gdy rozum mu towarzyszy. Inaczej, kto idzie za samym głosem serca, które może być nie rozropne i chwiejne, — ten łatwo za łada uniesieniem, daje się porwać i schodzi na manowce.

Czerpiez tedy niewiasty, naukę ze źródeł b o ż e j m ą d r o ś c i do własnych umysłów, bo wy mistrzyniami jesteście serc i ducha narodu!

Srebrna kołyska.

(wspomnienie z dziejów naszych.)

W małym domku nad Wisłą, uboga kobieta ze łzami w oczach, śpiewała kołysząc dziecię. Smutną była, bo mąż jej służący w wojsku przy królu Jagielle, przed pół roku poległ w bitwie z Krzyżakami. Znaleźli się zli ludzie, którzy fałszywemi plotkami zaszkodzili jej, bo król cofnął wsparcie, jakim miał ją wspomódz, więc biedna niewiasta cierpiała głód i nędzę.

Kołysząc dziecię nuciła mu a łzy płynęły jej po licach. Wtem otwarły się drzwi. Weszła Temka, stara litwinka, która była dawniej platuuką królowej Zofii, czwartej żony Jagiełły. Po ślubie królewskim, zamieszkała na dworze, a miłosierna królowa zawsze wdzięczność dla niej zachowując, miała ją blisko siebie.

Temka rzekła do Marty: Przyjdźcie Marto dziś wieczorem do zamku. Królowa pani ma do Was prośbę, —

— Cóż takiego?

— Będzie was prosić, abyście przez święta Bożego Narodzenia zostali we dworze, przy małym królewiczu Władysławie, bo król i królowa jadą na Litwę, do księcia Witolda, aby go na chrzciny zaprosić.

W tej chwili zaptakało w kolebce dziecię Marty; chwyciła je na ręce aby uspokoić. Temka pożegnawszy ją, wróciła do zamku.

Wieczorem, do komnaty królowej Zofii weszła Marta. Stała nieśmiało u progu, a łzy potoczyły jej się po twarzy.

Królewicz spał w prześlicznej srebrnej kolebce i przez sen uśmiechał się do aniołów. Nad nim pochyłona była piękna i młoda królowa i w zadumaniu nie widziała, iż Marta jej się przypatruje; dopiero po chwili, usłyszawszy płacz cichy, odwróciła się, mówiąc:

— A, to ty Marto, dobrze, żeś przyszła. Zostaniesz z Temką przy królewiczu, dopóki wrócimy. Ale czego płaczesz? Marta przez długi czas nie mogła słowa przemówić, wreszcie rzekła:

— Najjaśniejsza Królowo! Patrzę na twego syna w srebrnej kolebce i myślę sobie: Jakież to szczęśliwe dziecko. Pewnie mu całe życie przejdzie po kwiatach i żadnych cierpień nie zazna!

— Nikt nie wie, co go czeka w życiu — odrzekła królowa. Często ten, co się w kolebce z łyka wychowa, więcej szczęścia dozna, niż ten, co się w srebrnej kołysał!

Ale Marta nie miała uważać na to co jej matka królewicza mówiła, tylko uklękawszy przy dziecku, powtarzała:

— Srebrna kolebka! a mój mały tam w łykowej, płacze, w zimnej izbie, biedny sierota!

Królowa rzekła znowu:

— Bóg tylko wie, jaka dola będzie naszych synów. Gdy się kiedyś w życiu, da Bóg, za kilkanaście lat spotkamy, przekonamy się, który z nich mieć będzie lepszą dolę.

To cośmy opowiedzieli, działo się w roku 1424. — W dwadzieścia lat później, to jest w roku 1444, król polski, Władysław III, ten sam, który się niegdyś w srebrnej kolebce kołysał, zginął w młodym wieku w bitwie z Turkami, a śmierć jego uważano jako karę bożą za złamanie przysięgi pokojowej. Tymczasem, syn Marty, ten co w łykowej sypiał w kolebce, został wysokim urzędnikiem, odznaczony się na wojnie, za króla Kazimierza, drugiego syna Jagiełły, a wzięwszy do siebie matkę staruszkę, pielęgnował ją przez resztę życia i pocieszał.

Królowa Zofia, spotkawszy po śmierci syna Władysława, starą Martę i pokazując jej srebrną kolebkę, rzekła ze smutkiem:

— Widziałś Marto, twój syn w łykowej kolebce chowany doznał błogosławieństwa bożego, a mój, mimo bogactw i świetności królewskiego dworu, smutną śmiercią młody żywot zakończył!

Miłość córki.

(podanie perskie.)

Było to w Persyi, azyatyckim kraju, w bardzo dawnych czasach.

Zołnierze szacha, to jest monarchy perskiego, wpadli raz z jego rozkazu, do dzielnego generała i bez przyczyny, jako oskarżonego, okuli w łańcuchy i do więzienia zaprowadzili. Człowiek ten był jednak niewinnie posądzony. Córka jego jedyna, imieniem Kantemira, mdlała z płaczu i żalu, nie mogąc przewidzieć, co się z ojcem stanie,

Po paru dniach odwiedziła ją ciotka i wzięła do siebie. Starła się ją uspokoić, ale nadaremnie; biedne dziewczę które ojca nad życie kochało, nie mogło o nim nawet na chwilę zapomnieć ani niezem się pocieszyć i przeżywało tylko, jakimby sposobem go ratować i mówiło sobie duchu:

— Muszę dowiedzieć się koniecznie, gdzie mi ojca zamknęli. Dostanę się do niego i wybawię go, albo sama z nim zginę. Ale jak się dowiedzieć? Żołnierze uchwycili go i od tej pory ani znaku życia nie daje. Nie wiadomo, co z nim zrobili i gdzie jest!

Dziewczyna dumiała długo, wreszcie udała się do starego przyjaciela swego ojca, który był królewskim oficerem i z płaczem zaklinała go, aby jej powiedział, gdzie nieszczęśliwy generał się znajduje.

Stary żołnierz patrzył z rozczerwieniem na łzy smutnego dziewczęcia, wreszcie powiedział:

— Moje dziecko, ja wiem gdzie jest twój ojciec, ale cóż ci przyjdzie z tego, gdy ci powiem? Ani on ciebie, ani ty jego, już w życiu nie zobaczysz. Zamknęli go w wielkiej wieży na niedostępnej skale, stojącej nad rzeką Tygrysem, a straż nieustannie czuwa nad nim. Dojść tam nie możesz bo bardzo daleko, przez rzekę nie przepłyniesz, bo bardzo głęboka, na skalę się nie dostaniesz, bo bardzo spadzista.

— To wszystko nie mię nie odstrasza — odrzekła Kantemira z zapalem. — Kocham ojca i żadna ofiara dla niego nie będzie zbyt trudna. Pójdę go ratować.

— Dziewczyno, zlituj się! Jeśli zdradzisz przed kim, że to ja ci powiedziałem, zginę i ja i ty. Milcz o tem, ani słowa nie powiedz!

— Nie bój się, nie rzeknę ani słowa, al' pójdę sama w świat daleki szukać ojca, i albo go uwolnię, albo zginę z nim razem.

To rzekłszy, podziękowała staremu przyjacielowi za wiadomość i wróciła do ciotki.

Przyszła noc, a Kantemira ani oka nie zmrużyła, rozmyślając nad tem, jakie trudne zadanie sobie przedsięwzięła, ile jej trzeba będzie przecierpieć, ale nie straciła odwagi, bo miłość jest zdolna do poświęceń bez granic. Została list do ciotki, w którym doniosła jej, że idzie szukać ojca i że z nim powróci, albo że jej już nikt nie zobaczy. Nad ranem, wzięwszy mały węzełek i nieco pożywienia, wybrała się w drogę.

Biedna dziewczyna! Przeszło sto mil trzeba jej było przebyć, aby się nad rzekę Tygrys dostać. Droga, którą przebyła, nikt nie wypowie jak długą i przykrą była! Żywiła się uproszoną jałmużną, nocowała gdzie się udało: raz w polu, drugi raz wśród nieznanych ludzi. Stopy jej krwawiły się od ostrych kamyków; obwiązywała je szmatami i niezłomną wolą krzepiła siły.... Idąc dzień za dniem, spostrzegła wreszcie brzegi rzeki, nad nią skalę z wielką wieżą, w której uwięziony był jej biedny ojciec.

Wznosząc ręce do góry zawołała: — O mój ojczu, czy ty się domyślasz, że ja tu jestem, czy zobaczysz mię choć zdala? Jakże ci dam znać! —

Poczęła wołać drogiego ojca — ale na próżno, głos jej płynął ku niemu. Nie doleciał uszu więźnia, nie pocieszył zranionego serca.

Zbolała córka siadła nad brzegiem rzeki i zadumała się:

— Co pocznę? Jak się na drugi brzeg dostanę i jak ojca uwiadomię o przybyciu? Nie mam innej rady, tylko nauczyć się pływać, aby przebyć tę szeroką rzekę i dalej próbować pomocy.

I tak uczyniła. Zgodziła się na służbę do pewnego gospodarza; przez dzień nieustawała w pracy, a nocami szła do rzeki i uczyła się pływać, bacząc na to, aby nikt jej nie podpatrzył. Ale dużo trzeba było czasu, nim młode i wątłe jej ramiona wzmocniły się do tego stopnia, aby mogły się oprzeć parciu fali i przenieść ją na drugą stronę rzeki, by prowadziła dalej dzieło uwolnienia ojca.

Po upływie długich czterech miesięcy, Kantemira umiała już tyle, że podpłynęła pod samą skalę. Zobaczyła ojca stojącego przy zakratowanym oknie

i niewymownie wzruszona, rozplakała się z radości i wołać zaczęła w uniesieniu :

— Ojcie, ja jestem tutaj, ja, twoja córka, Kantemira. Popatrz na mnie ojcie ! przemów do mnie słowo ! —

Ale było to napróżno, ojciec nie słyszał, ani domyslał się że go ukochana córka wzywa.

Wróciła smutna i bardzo zmęczona. Na drugi dzień, zaledwie mogła zabrać się do roboty, tak ją ramiona bolały i z sił była wyczerpana.

Codzień przed świtem podpływała ku wieży, wołała ojca, najczulszemi słowami go przyzywając, ale on ani jej ujrzał, ani usłyszał.

Znalazła jednak i na to radę. Wzięła wielki kawał płótna i na nim gdy księżyc przyświecał, wyszyła jak mogła, imię swoje, wielkimi literami. Podpłynawszy pod skałę, rozścieliła to płótno na odłamie góry, który był naprzeciw okna ojca.

Gdy nazajutrz znów przyplnęła pod górę, ujrzała z radością, że ojciec patrzy na płótno i imię jej czyta. Rzuciła kamień w wodę, a na plusk ten, ojciec spojrział na rzekę i zdumiał się na widok córki. Kantemira podniosła w ręku list, dając mu poznać, iż chce mu go doręczyć. Ale dużo czasu upłynęło i długo dziewczyna w falach rzeki czekać musiała, nim ojciec, skrećwwszy sznur z podartego odzienia, spuścił go w wodę. Przywiązała do niego list i szybko odplnęła z powrotem. Odtąd, co nocy przyplwała pod wieżę, przynosząc z sobą pilniki, liny i inne rzeczy potrzebne do ułatwienia ucieczki, które ojciec za pomocą sznura, przez okno do wieży wciągał.

Ale i to szło długo i ciężko. Dużo dni przeszło, nim nadeszła owa noc ważna, w której ojciec Kantemiry miał się po sznurowej drabinie spuścić z wieży i wybawić z niewoli.

Noc ta była ciemna i burzliwa. Gdy córka przybyła pod skałę i czekała, ojciec z wieży spuszczać się zaczął.

Co za uroczysta i rzewna była chwila, gdy znękany ojciec mógł wreszcie pocziwie dziecię przycisnąć do piersi. Jak serdecznie ta najlepsza córka całowała dłoń ojcowską po tylu cierpieniach i tęsknocie !

— Prędko płynmy ojcie, prędko, za chwilę wszystko się skończy, straż cię nie zobaczy.

Rozpoczęła się przeprawa przez rzekę — ale radość nie długo trwała. Generał osłabiony długim więzieniem, w połowie rzeki zaczął tracić siły, wreszcie, omdlały, zanurzył się w głąb wody. Rozpacz dziewczęcia była okropna. Słabemi ramionami nie zdołała ojca z głębi wydobyćokropna to była chwila — poczęła wołać ratunku. Na jej krzyk przybiegli strażnicy a widząc dziewczynę, która z nadludzkim wysiłkiem wydobyła omdlałego ojca i wyciągnawszy na brzeg, starała się zawlec w krzewy, dla ukrycia, — wypuścili strzałę i Kantemira raniona, upadła na ziemię.

Na drugi dzień rano, dozorca więzienia wydał wyrok śmierci tak na ojca, jak na córkę.

Jednak wieść o tym wypadku doszła aż do króla perskiego, który wzruszony tą miłością córki, rozkazał, aby ich oboje uwolnić i napisał, że takiemu ojcu, który ma tak kochającą córkę, wszystko przebacza.

Prócz tego, kazał nad brzegiem rzeki postawić wspaniały pomnik, przedstawiający córkę, trzymającą w objęciu upadającego ojca, a okoliczni mieszkańcy często odwiedzają teraz jeszcze, ten pomnik, strojąc go w kwiaty i opowiadają o córce, która tak bardzo ojca sw go umiłowała.



KRAKOWIANKA.

Jestem krakowianka, córka polskiej ziemi,
 Nie mieniałabym się i z najszcześniejszymi.
 Wisła nasza Wisła, nasza polska rzeka,
 W Karpatach się rodzi, do morza ucieka.
 Słodko żyć w tym kraju, nad Wisły brzegami,
 I czuć sercem duszą, żeśmy Polakami!
 Wawel nad nią stary duma o przeszłości,
 Chowa on i strzeże ojców naszych kości.
 Czas szybko przemija, Wisła szybko płynie,
 Uczmy się z przeszłości, a Polska nie zginie!

Znak krzyża u zdrowieniem chorych.

Człowiek jest niedołącznem stworzeniem, tak co do duszy, jak co do ciała. Jak dusza jego tak i ciało potrzebuje jałmużny. Zdrowie i bezpieczeństwo cielesne, mają też w znaku krzyża swój ratunek.

Pan Jezus, Słowo wcielone, jest źródłem siły i życia. Ewangelia św. mówiąc o nim, gdy z ludźmi obcował, wyraża się w sposób prosty a wzniosły: *Wypływała z niego moc, lecząca wszystkie choroby*. Świadcstwo dziejów ówczesnych dowodzi, że słowa te stosują się przeważnie do znaku krzyża.

Wiadomem jest z tychże dziejów i z historii kościoła, że pierwsi chrześciance znaku krzyża używali lecząc choroby. Św. Cyryl patriarcha jerozolimski i św. Jan Chryzostom konstantynopolitański, twierdzą, że był on i za ich czasów tak jak dawniej, środkiem leczenia niemocy i pokasania przez dzikie zwierzęta. Podamy znów na to przykłady, a ponieważ wszystkie pięć zmysłów podlega cierpieniu, zaczniemy od pierwszego, to jest wzroku. Ci co czytają „Dzieje męczenników“ pamiętają opis świetnego cudu, jaki zdziałał św. Wawrzyniec, o którym w jednym z hymnów kościelnych śpiewa się że: *znakiem krzyża rozświecił ślepotę*. Święty ten arcydyakon rzymski wszedł do domu niewidomego Krescencyusza, który zalewając się łzami, rzucił się do nóg jego błagając: Połóż rękę na oczy moje, abym cię obaczył. Święty, głęboko wzruszony, odrzekł: Niechaj Jezus, Pan nasz, który otworzył oczy ślepemu od urodzenia, użyczy ci światła. Mówiąc te słowa, położył znak krzyża na oczach Krescencyusza, który ujrział świat boży i św. cudotwórcę, jak sam tego pragnął.

Mędrzec chrześcijański, Teodoret, opowiada o swej matce co następuje: Matka moja miała ból w oku, na który nie mogły pomódz żadne lekarskie środki. Przeszukano dużo ksiąg, przepytano najuczestszych doktorów, żadnego skutecznego lekarstwa na to nie znaleziono. Rzeczy tak stały, gdy dnia jednego matkę moją odwiedziła przyjaciółka. Ta opowiadała o mężu bożym z Pergamy, imieniem Piotr i o cudzie, który zdziałał. Niewiasta ta dodała te słowa: Zona wielkorządcy ze Wschodu tak samo cierpiała jak ty. Udała się do Pietra, który ją uleczył, modląc się nad nią i czyniąc znak krzyża.

Matka moja, nie tracąc chwili czasu, biegnie wyszukać męża bożego, rzuca mu się do nóg i błaga o uzdrowienie. „Jestem ja tylko biednym grzesznikiem — odrzecz on — i wcale nie otrzymałem od Boga takiej mocy, jaką mi przypisujesz.“ — Lecz matka moja podwaja proźby i płacze, oświadczając, że póty go nie opuści, dopóki jej nie uzdrowi. Piotr odpowiada jej: Bóg tylko jest lekarzem tych chorób. Wysłuchuje on tych, którzy w niego wierzą. I ciebie wysłucha, lecz nie dla mych zasług, ale dla twojej wiary. Jeśli więc wiara twoja szczerza, prawdziwa, czysta i niezachwiana — porzuć doktorów i ich leki, a przyjmij lekarstwo, które Bóg daje.“ To powiedziawszy, wyciąga rękę ku oku, czyni znak krzyża — i oko uleczone.

Z czasów późniejszych przykłady uczą nas, że choć przeszło wiele stuleci, znak krzyża nie przestał być tak samo pomocnym. Św. Elodyusz, jeden z biskupów francuskich, idąc przez most w Paryżu, uzdrowił niewidomego, który zamiast o jałmużnę, prosił go o naznaczenie krzyżem jego oczu.

Podobny wypadek znajdujemy w życiu św. Froberta, zakonnika z Szampanii. Był jeszcze dzieckiem, gdy matka jego, ślepa od lat wielu, wzięła go

na kolana; potem uściskawszy go i ucałowawszy, prosiła, aby na oczach zrobił jej znak krzyża. Dziecię zrazu nie chciało, ale gdy matka nieustannie go o to prosiła, zrobił co pragnęła, a w tejże chwili matka wzrok odzyskała.

Święty Bernard wyleczył w swem życiu setki ociemniałych głuchych i niewidomych wszelkiego stanu i wieku, z różnych krajów. Czynił to w obecności królów i wielkich panów, za pomocą znaku krzyża.

Sluch, tak samo jak wzrok, odzyskiwali chorzy od najdawniejszych czasów, tymże samym sposobem. Pan nasz, Jezus Chrystus, znakiem krzyża przywracał słuch głuchym, a mowę niemym.

Przenieśmy się myślą do starożytnego Rzymu, do pałacu prefekta, w którym mieszkał Sebastyan, młody oficer rzymski, dowódca oddziału pretoryanów pod panowaniem cesarza Dioklecjana, co tyle wówczas znaczyło, ile dziś tytuł pułkownika gwardyi cesarskiej.

Wymowny i śmiały, używał tych darów na dodanie odwagi męczennikom, których codziennie przyprowadzano do sądu. Dnia jednego, Zoe, żona prefekta rzymskiego, niema od sześciu lat, na swoje szczęście, była obecną przy jego przemowie. Jakkolwiek była poganą, to jednak tak się uczuła wiruszoną, że rzuciła się do kolan świętego, dając mu poznać ruchami rąk, że pragnie być uzdrowioną. Znak krzyża położony przez niego na jej ustach, wrócił jej władzę mowy. Pierwsze słowa, jakie wymówiła, była to prośba o udzielenie jej chrztu świętego.

Gdy św. Bernard był w mieście Spirze, gdzie wielu cudownych uzdrowień dokonywał, przybył do niego Anzelm biskup z Niemiec, mający tak silny ból gardła, że ani mówić, ani nie przełknąć nie mógł. Rzekł on do św. Bernarda: — Powinieneś i mnie uzdrowić. —

Święty mu odpowiedział:

— Jeśli masz tyle wiary, co ci biedacy, którzy tu zdrowie odzyskali to mógłbym i tobie oddać podobną przysługę. —

Biskup odrzekł: — Jeżeli moja wiara nie wystarczy, niech przez twoją uleczonej zostanę. —

Święty wówczas dotknął go, znacząc krzyż i w tejże chwili ból i spuchnięcie ustały.

Św. German szedł raz w odwiedziny do św. Hilarego, którego był przyjaciółm serdecznym. Po drodze spotkał dwu ludzi, którzy do niego z trudem wiedli biedną niewiastę niemą i chromą. Z ledwie święty uczynił znak krzyża, odzyskała mowę i władzę w nogach. W trzy dni później przyszła sama podziękować swemu dobroczyńcy.

Taki sam cud zdział święty Eutyniusz z Palestyny, nad Terebonem, synem saraceńskiego rządcy w Arabii, który od dzieciństwa był porażony w pół ciała, a usłyszawszy o świętym kapłanie, prosił by go do niego zaprowadzono. Towarzyszył mu ojciec i bardzo wielu znajomych. Eutyniusz znakiem krzyża w jednej chwili uzdrowił młodzieńca. To uleczenie cudowne spowodowało, że nie tylko nawrócili się syn i ojciec, ale zarazem i wszyscy niewierni saraceni, świadkowie tego cudu.

W wiele lat później, św. Wincenty Feraryusz dokonał podobnego cudu.

Gdy był w mieście Nant, przyprowadzono do niego człowieka od osiemnastu lat sparalizowanego, który go prosił o błogosławieństwo. — Nie mam srebra ni złota, — rzekł święty do chorego, ale proszę bądź Panu naszego Jezusa Chrystusa, aby ci przywrócił zdrowie duszy i ciała. Potem nad jego bezwła-

dnymi członkami, święty znak krzyża uczynił. Paralityk uleczony wstał bezwładnie, złożył dziękczynienie Bogu, oraz świętemu studze jego, wrócił do domu i od tej chwili nie zaznał już owej choroby.

Złote ziarnka.

Gdy dziecięciu co rozkażesz, to gdy kochasz je serdecznie,
Pilnuj, by cię usłuchało, niewzruszenie i statecznie,
Bo gdy rozkaz w żart obrócisz i spełnionym nie zostanie,
To nad wolą swego dziecka już straciłeś panowanie.
Ani prośbą, ni schlebianiem, nie namawiaj dziecka twego,
Bo tylko stanowczem słowem, nakłonisz je do dobrego;
Ono tysiąc razy dziennie wolę twoją złamać pragnie,
Ale biada tobie, matko, gdy cię do swej chęci nagnie.
Przez ciąg cały życia swego, nie ugięty i zbłąkany,
Pędzić będzie na manowce, jako koń nieokiełznany.
A gdy ostro skarcisz dziecię, to cię kochać nie przestanie,
Lecz o tobie wdzięczna pamięć, wiecznie w sercu mu zostanie.

Gospodarstwo.

Solenie wieprzowego mięsa. Sposób warszawski. Część rozebranego wieprza przed posoleniem należy trzymać nie dłużej niż do trzeciego dnia w miejscu zimnem, bacząc jednak, żeby mięsiwo nie zmarzło. Jeśli zaś wypadkiem zmarźnie, należy poczekać z soleniem, aż odtaje. Jeśli szynka jest zmarznięta, opiera się ją golenią o stół lub pieńek, i naciska ręką z wierzchu przy kości biodrowej, a nawet całą się lekko ugniata, aby prędzej zmiękła. Potem trzymając lewą ręką za goleń nabiera się w prawą dłoń soli i naciera się nią mocno całą szynkę. Można też przebić ponad golenią dziurę aż do kości i napchać tam soli z niewielką ilością saletry, a nadto, jeśli szynka jest bardzo gruba, zdjąć nożem wierzchnią warstwę mięsa. Oba te sposoby dopomagają do lepszego przesolenia szynki i zabezpieczają od psucia się.

Do solenia mięsów należy przygotować odpowiednie naczynie: wannę, beczkę, lub jaki inny obszerny statek drewniany. Latem stawia się takie naczynie w lodowni i okłada się do koła lodem; zimową porą stawia się w miejscu chłodnem. Na dno naczynia sypie się soli miątkiej, na palec grubo, potem trochę saletry tłuczonej i układa się szynki lub łopatki natarte solą, ściśle jedną przy drugiej, aby nie zostawało pustego miejsca. Z wierzchu posypuje się je saletrą i grubą warstwą soli. Na to kładzie się znów szynki lub łopatki, bacząc, aby z tamtych, spodnich soli nie zgarnąć, i znów się po wierzchu trochę saletruje i grubo się soli. Po szynkach kładzie się boczki i podgardla, również solą wpierw natarte. Jeśli są głowy, to można je układać naprzemian z bokami i podgardlami, byle ściśle jedno przy drugim. I to również posypać saletrą i solą. Można też, szczególnie między

spodnie warstwy, nakłść liści bobkowych, pieprzu, kolendry i innych przypraw wedle upodobania. Ułożone tak mięsiwo przykryć deską, nacisnąć kamieniami i pozostawić dwie doby, a na trzeci dzień zalać tak zwanym „sosem“, o którym niżej powiemy. Karki, polędwice i ozorki, tak samo jak i szynki, naciera się solą, a potem składać je trzeba w naczynie oddzielne, a to dlatego, że te małe sztuki w soli nie tak długo powinny leżeć, jak szynki. Po ułożeniu ściśle całej warstwy, posypuje się ją z wierzchu saletrą a następnie solą, ale już nie tak grubo, i zazaz się sosem polewa, bacząc, by soli nie splukać.

Sos do polewania mięsiwa robi się w taki sposób: Wziąć wody miękkiej, z rzeki, a jeśli studziennej, to gotowanej i niezupełnie ostudzonej. Do kubka takiej wody wsypać trzy ćwierci funta saletry i sporo soli, i mieszać, żeby się wszystko rozpuściło, a szumowiny wypływające na wierzch zbierać i odrzucać. Sól dosypuje się póty, aż sos zrobi się tak gęsty, że jajko lub kartofle wrzucone do kubka wypłyną na wierzch. Gdy to nastąpi, sos jest w sam raz dobry do użycia.

Sosem takim zalewa się mięsiwo na trzeci dzień po zasoleniu. Wlewać go trzeba bardzo ostrożnie, z boku aby nie zmylić wierzchniej warstwy soli i saletry.

Najkrócej trzyma się w sosie polędwice i ozorki, które w dziesięć dni są już dostatecznie słone. Karki pozostawia się w sosie do dwóch tygodni. Jeśli z mięsem wieprzowem posolona była razem wołowina, to ozór wołowy wyjmie się z sosu piętnastego dnia, a reszta wołowiny wyjmie się po czterech tygodniach. Podgardla i łebki wieprzowe powinny leżeć w sosie do trzech tygodni, boczki do czterech tygodni, szynki zaś od czterech do sześciu tygodni, stosownie do wielkości.

Po wyjęciu z sosu, mięsiwo kładzie się do obszernego naczynia drewnianego i zalewa się wodą, która wyciąga z niego zbytek soli. Ozorki, polędwice i karki pozostają najwyżej pięć godzin; dłużej moczy się je chyba w takim razie, jeśli były przesolone. Głowy, podgardla, boki i szynki mokną dłużej lub krócej, stosownie do wielkości, w każdym razie jednak nie powinny pozostawać w wodzie dłużej nad czterdzieści godzin.

Sposób litewski. Mięsiwo świeże rozebranego wieprza naciera się solą z saletrą, póki jeszcze ciepłe. Po natarciu rozkłada się na stole tak, aby każda część leżała oddzielnie do czasu, aż zupełnie wystygnie. Na sto funtów wieprzowiny bierze się do nacierania pięć funtów soli prażonej (to jest wysuszonej doskonale w piecu), stuczonej mało i przesianej przez przetak. Do tego dodaje się po 5 łutów: saletry, liścia bobkowego i pieprzu angielskiego (czyli angielskiego ziela), półczwarta łuta goździków i 10 łutów kolendry. Kolendra sypie się prawie w całości, zaledwie nieco potłuczona inne zaś przyprawy winny być dobrze utłuczone. Kto chce, może jeszcze dodać do tego cebuli i czosnku. Do dalszego solenia należy zawczasu przysposobić niewielkie skrzynki drewniane. Dna skrzynek wysypać solą z przyprawami, a następnie układać jak najszczelniej warstwami już natarte i ostudzone mięsiwo. Każdą ułożoną warstwę mięsiwa przesypać znowu solą z saletrą i innemi przyprawami. Trzeba tylko baczyć, aby mięso przedtem doskonale wystygło, w innym razie bowiem nabrałoby przykrego smaku. Układać je należy bardzo ściśle, aby jak najmniej powietrza w paczce pozostało. Polędwice i ozorki lepiej kłaść w osobne paczki, bo wówczas można je nie tak mocno

solić. W takim razie jednak pomiędzy większe sztuki mięsa, jak szynki, łopatki i tak dalej, wypadnie wkładać dla zapelnienia dziur zryzki słoniny. Napelniwszy skrzynkę po sam wierzch, sypie się jeszcze raz grubo soli z przyprawami, naciska się wiekiem skrzynki i kamieniami i pozostawia w miejscu ani zbyt ciepłym, ani zimnym, na dwie doby. Na trzeci dzień skrzynkę zabija się z wierzchu, wszystkie jej szpary zalewa się dokładnie smołą i wynosi w miejsce chłodne, ale ubezpieczone od mrozu. Potem raz lub dwa razy na tydzień trzeba skrzynię przewracać to dnem, to znowu wiekiem do góry, aby wydzielający się z mięsa rosół równomiernie je oblewał.

Kto chce przechować część mięsiwa niewędzonego do lata i dłużej, niech je składa w skrzynki małe, tak żeby w każdej mieściło się nie więcej nad dwie szynki i kilka mniejszych kawałków. W takim razie trzeba trzymać zasolone mięsiwo w lodzie, oblepiwszy starannie skrzynkę smołą.

Mięsiwo przeznaczone do wędzenia, wyjmuje się ze skrzynek w marcu w dzień pogodny, tarza się w pszennych otrębach, albo też oszywa się w stare płótno, lub okręca w papier, i wywiesza na wiatr na dwa lub trzy dni, aby przed wędzeniem obeschło.

Sposób niemiecki. W wielu okolicach niemieckich przygotowują szynki do wędzenia następującym sposobem: Na dziewięć funtów soli biorą pięć funtów saletry i funt cukru miążkiego. Mieszaniną tą nacierają ciepłe jeszcze szynki i rozkładają je na stole do wystudzenia, zdala jedną od drugiej; potem składają do odpowiedniego statku drewnianego przesypując tą samą mieszaniną. Usolone szynki osuszają na powietrzu i biorą do wędzenia.

Kto robi wędlinę na sprzedaż do prędkiego użycia, nie na długie chowanie, temu sposób warszawski jest dogodniejszy, bo mięsiwo nie tylko nie traci wagi, ale nawet staje się cięższe. Taka wędlina jednak będzie nie-trwała, nie da się długo trzymać. Dla gospodarzy więc, robiących wędlinę tylko raz lub kilka razy do roku na długie przechowywanie, daleko lepszy jest litewski sposób solenia.

Rady domowe lekarskie.

Dodrym środkiem lekarskim domowym, jest lubiony i znany ze swego zapachu fiołek. Zbiera się całą roślinkę, wraz z liśćmi i ostrożnie się susza, potem najlepiej się ją zachowuje w szczelnie zamkniętej blaszance. Herbata z fiołków jest dobrem lekarstwem na kaszel, koklusz, oraz pomaga do wydzielania śluzu w suchotach. Także ból głowy połączony z mocnem rozpaleniem ustaje, po obmyciu herbatą z fiołków, zwłaszcza tylnej części głowy. Herbata fiołkowa jest jeszcze pomocną na ból gardła, jako płukanie. Liście zaś fiołków rozgniecione i przyłożone do zaczerwienionych wrzodów i wrzutów, rozpędzają je i goją.

Przeciągnięcie muszkułów przy wywiechnięciu ręki lub nogi, leczy się zwykle zimnymi okładami. Daleko jednak lepiej działają gorące okłady (tak gorące jak tylko wytrzymać można). Aby skutek był pewniejszy, dodaje się do wody kilka kropel płynu arnika, którego dostać można w aptece.

Pokrzywa jako środek leczniczy na reumatyzm oddaje niejedną przysługę. Nawet w zastarzałych wypadkach zaleca się codziennie przez kilka

minut chore miejsca pochłostać świeżą pokrzywą, a cierpienia wkrótce ustąpią. Prócz tego, ususzone pokrzywy, zaparzone następnie na herbatę, są i na wewnętrzne niedomagania bardzo przydatne. Herbata pokrzywana rozpuszcza flegmę w piersiach i na płucach, oczyszcza żołądek z wszelkich nieczystych zawartości i usuwa je.

Na uporczywy katar zalecamy następujący środek: Łyzeczkę sproszkowanej kamfory wsypuje się w dość obszerne naczynie, a na to nalewa się do połowy naczynia wrzącą wodę i zakłada się na nie tutkę papierową trójkątną, jakich używają w handlach korzennych, a której koniec ślepy obcina się o tyle, aby pozostały otwór można było włożyć w nos — i wciąga się przez nos ciepłe kamfrowe wyziewy przez 10 do 15 minut. Powtarza się to po 4 ech lub 5-ciu godzinach, a uparty i zadawniony katar musi ustąpić po użyciu tego środka.

Cebula jako środek przeciw odmrożeniu. Już w najdawniejszych czasach znano skuteczność leczniczą cebuli na różne cierpienia. Wybornie ona pomaga przeciw odmrożeniu członków. Trzeba ją utrzeć i rozmiażdżyć i smarować tym wyciskiem z niej bolące miejsce, szczególnie wtedy, gdy się jątrzyć zaczyna. Trzeba to smarowanie powtarzać aż do zupełnego zagojenia.

Tasiemiec (soliter) czyli robak w wnętrznościach człowieka żyjący, truje się przez picie herbaty, czyli odwaru z kwiatu rzedz do której wlewa się nieco rycynowego olejku.

Na katar żołądka jest lekarstwem przed każdym jedzeniem, t. j. rano, w południe i wieczorem zażywać po pół łyżki nietłuczonego nasienia gorczycy. Środek ten oczyszcza żołądek i przywraca mu zdrowie.

Przeciw wybuchom krwi z nosa, następujący zalecamy środek: po wypłukaniu nosa czystą, zimną wodą, (co można przez natryskanie małą szprycą uczynić), wstrzykuje się w nos sok z świeżo wyciśniętej cytryny. Jedno takie wstrzyknięcie zazwyczaj wystarcza na wstrzymanie upływu.

Spirytus mrówczany używany skutecznie do nacierania członków w reumatycznych i paralitycznych cierpieniach, najłatwiej w następujący sposób przyrządzić można: flaszkę z odrobiną miodu wewnątrz, zakopuje się aż po szyjkę, w kopiec mrowiska leśnego. Mrówki natychmiast schodzą się do miodu i cała flaszka w krótkim czasie jest niemi napełniona. Wtedy wlewa się w nią spirytus, który bezzwłocznie umarza mrówki. Po kilku dniach stania, spirytus się odcedza i może być użyty do nacierania.

ROZMAITOŚCI.

Przestroga dla dziewcząt. Jeden z czytelników naszych przysłał nam opis następującego zdarzenia: W jednej wsi nad Wisłą, do dworskiego koła zgłosiła się do służby dziewczyna i przez parę lat przykładnie się zachowywała. Razu jednego dała się przecie komuś zbałamucić i dziecię które w nocy przyszło na świat, ukryła w skrzyni między chusty gdzie biedactwo zasnęło snem wiecznym, a sama, jakby nie dając nic poznać po sobie, poszła rano do roboty.

W trzy dni później, ogrodnik dworski chodząc nad jeziorem, ujrzał, jak kruki i gawrony coś dziobią. Zbliżywszy się, spostrzegł małe dzieciątko,

z wydziubanemi oczami, po których tylko dołki zostały. Zrobił się więc ruch i szukano za sprawczynią zbrodni. Zandarm śledził długo, ale z początku nie dojść nie było można. Uważały jednak kobiety, że Kasia, sługa kowala pobladła i zmieniła się. Za pomocą kobiety, która matki leczy, i między dziewczętami szukała winowajczyni, stwierdzono iż to Kasia rzeczywiście jest tą wyrodną matką. Sąd skazał ją na dwa lata więzienia. Lecz gdy karę tę odsiedziała, czy myślicie, kochane siostry że się odmieniła? Nie, w krótkim czasie narodziło jej się drugie dziecko, i tym razem nie zgładziła je ze świata, ale jakby za karę od Boga wymierzoną, dziewczyna ta potwornie wygląda, bo oczy, jak dwie wysadzone cebule sterczą jej na twarzy. Ma ona już teraz 15 lat a biedna matka która służy jeszcze do tego czasu i nie prawie sobie nie zarobiła, chować musi to upośledzone dziecko które jej żywo grzech młodości przypomina.

Oto macie dziewczęta przestrożę: Niektóre z was, jak tylko dorosną, chcą zaraz iść w świat, na służbę, do dworu, albo co gorzej, do żyda, dlatego, że tam mało roboty. Ale ty dziewczyno, pamiętaj na to, że tam grzechu dużo i gdybyś pamiętała o bożych przykazaniach, tobyś się strzegła takiej służby. I do was zwracam się, kochane matki i przypominam: nie wyganiajcie swoich córek na służbę tam, gdzie im grozi niebezpieczeństwo, bo będziecie odpowiadać przed Bogiem może bardziej niż one. Ale nie jedna z matek mówi: Idź Kasu, idź Maryś, może się któremu chłopcu spodobać. Oj, matko, gdybyś sobie przypomniła swoje młode lata, tobyś nie wystawiła swego dziecka na zgubę, pamiętając na słowa Pisma św.:

— „Kto miłuje niebezpieczeństwo, zginie w niem.“

Zły duch się cieszy, gdy w sidła swoje złowi nierozważną duszę, a choć upadła dziewczyna ukryje hańbę przed światem, to jednak przed Bogiem nie się nie ukryje i na dolinie Jozafata wszystko wyjawionem zostanie.

Szczepan T.

Kara za zgwałcenie powołauia. Czytamy w życiu Sgo Alonsa Liguori, iż ten święty założyciel zakonu posiadał dar proroczego ducha, który go przez całe życie nie opuszczał, kładąc mu w usta, zawsze spełniające się przepowiednie.

Dar ten boży objawił się w nim po raz pierwszy, przy następującem zdarzeniu w mieście Formicola.

Jeden młody nowicusz, imieniem Michał Alterius który poświęciwszy się w duchu na służbę bożą, już przez czas jakiś pozostawał w zakonie i pragnął gorąco zostać kiedyś wyświęconym, — został pewnego razu przymusem odebrany przez rodziców, którzy pragnąc aby żył z nimi dla ich własnej przyjemności i korzyści, — pośladowali go Bogu na ofiarę.

Święty Alfons, po tym gwałcie z ich strony, rzekł im:

„Postawiliście prawdzie na swoim, ale to zwycięstwo drogo opłacicie.“

I zaprawdę, — zaledwie młody Michał wszedł do rodzicielskiego domu, — umarł brat jego starszy, — syn pierworodny. —

Ojciec w najwyższem zmartwieniu, zawołał z bolesną skrucą:

„Oto Bogu jednego zabrałem, a Bóg odebrał drugiego!“

Powrót do zgubnego nałogu. W pewnej wiosce odbyła się missya i wielu ludziom do nawrócenia pomogła. Między innemi, przystąpił do śś. Sakramentów człowiek, który już oddawna oddawał się pijaństwu. Teraz oddrzekł się trunku i przez dziesięć lat przyrzeczenia tego dotrzymał. Razu jednego za-

chorował. Doktor poradził mu, aby dla poprawienia strawności, wypił czasami kieliszek wódki. Człowiek ów, znając dobrze sztuki jakie z nim wyprawiało lichy siedzące w wódce, nie dowierzał sobie i poszedł po radę do tego samego misjonarza, który go niegdyś odwiódł od nałogu i zapytał, czy może usłuchać rady doktora. Spowiednik dowiedziawszy się, iż doktor żadnego innego środka nie znał, któryby miał mu być na żołądek pomocny w takim razie, odrzekł: — Mój bracie, jeżeli od czasu do czasu, chcesz mały kieliszek jedynie dla wzmocnienia, wypić, możesz tego trunku użyć wyłącznie jako lekarstwa — i tego ci nie zabraniam. Ale uważaj, aby się w tobie ta uśpiona zła namiętność teraz nie obudziła, bo w takim razie, pod żadnym warunkiem nie powinienbyś już i tknąć wódki! — Człowiek odszedł do domu z dobrem postanowieniem, ale gdy zakosztował miłego trunku, już go nie porzucił. Po roku był pijakiem, jeszcze gorszym niż wprzód. Nie poprawił się już i umarł z opilstwa.

Strzeżcie się powrotu do dawnego nałogu; jest on tak gróźny, dlatego że prowadzi do coraz większego upadku!

Post Araba. Chrześcianie od Turków i Arabów w ogóle nie mogą się wiele nauczyć; jest przecie jedna rzecz, w której muzułmanie dają nam dobry przykład, mogący nie jednego z wiernych zawstydzić, a tym jest: ścisłe wypełnianie religijnych przepisów. Słuchają oni swego Koranu tak pilnie, że nie ich nie nakłoni do złamania jego przykazań.

Był to gorący dzień listopada; a musimy wiedzieć, że przez cały ten miesiąc, muzułmanie ostry post zachowują. Od wschodu do zachodu słońca, mają wzbronione jedzenie a nawet picie. Dnia tego, jeden pan; podróżny z obcych krajów, przybył do Egiptu, aby oglądać sławne piramidy, czyli olbrzymie grobowce dawnych egipskich monarchów. Najął sobie młodego Araba, aby mu służył za przewodnika. Przez skwarne upały całodzienny, chłopiec ten biegł obok osła, na którym jechał podróżny. Ten wioził z sobą pomarańcze, dla ożeźwienia się wśród gorąca, a wzięwszy kilka, ofiarował je Arabowi. Chłopiec przyjął owoce z podziękowaniem, ale je zaraz wetknął za rąbek płaszcza.

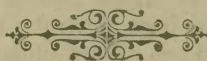
— Czy nie masz pragnienia? — zapytał go podróżny. — O, mam wielkie, panie, — odrzekł, — ale nie wolno mi ich używać, bo to czas postu! — I tak wytrwał aż do wieczora na piekącym skwarze, nie jedząc ani pijąc, dopiero gdy zaszło słońce, wyjął pomarańcze i pokrzepił się niemi. Jakże w obec tego chłopca wstydziliby się musiał taki chrześcjanin, co nie dba o dochowanie ścisłego katolickiego postu, uświęconego przecie 40-stodniowym łaknieniem na puszczy, jakiemu P. Jezus poddał się dobrowolnie!

Występna żona. Słusznie powiedział niegdyś u nas Krasicki, że „miłe złego początki, lecz koniec żałosny.“ Do Międzyrzecza w Królestwie polskiem, przed paru laty przyjechała tu z Siedlec pewna „słomiana wdówka.“ Mąż jej ożeniwszy się bardzo młodo, wkrótce po ślubie wyciągnął los do wojska. Odjeżdżając zapewniał żonę, że ciągle będzie myślał o niej, i prosił, aby nawzajem, o nim pamiętała i do jego powrotu nie wyjeżdżała z Siedlec, gdzie oboje mieli krewnych i znajomych. Żona obiecała, ale życie samotne wkrótce jej się sprzykrzyło. Chciała żyć wesoło, a tu wobec krewnych nie wypadało jakoś weselić się po rozstaniu z mężem. Nie bacząc więc na obietnicę, przeniosła się z Siedlec do Międzyrzecza. Tu poznała się z jakimś Janem Horoszem, człowiekiem bez czci i wiary, który przed kilku laty dał się przekupić nie-

mieckim spekulantom i namawiał ludzi, aby wyjeżdżali do Brazylii. Poprzyjaźniwszy się z nim, słomiana wdówka zapomniała o mężu i o Bogu. Tymczasem mąż dostaje niespodzianie urlop i przyjeżdża do domu. Nie znalazłszy żony, a słysząc od krewnych, że zamieszkała w Międzyrzeczu, zrzuci mundur, przebiera się i jedzie po nią. Ale żona nie ucieszyła się jego widokiem. O powrocie do domu ani myśli, tylko naradza się z przyjacielem, jakby się pozbyć nieporządanego gościa. Przewrotny Jan obmyślił zaraz sposób na to. Włożył ukradkiem jakiś fałszywy paszport do kieszeni żołnierzowi i zaskarżył go, że wybiera się uciec zagranicę. Zrobiono poszukiwania, znaleziono ów paszport i oskarżony poszedł do więzienia, a następnie został skazany do rot aresztańskich. Uradowani zdrajcy myśleli, że już teraz będą mogli żyć spokojnie. Ale Bóg nie chciał zguby człowieka niewinnego. Manifest Najwyższy uwolnił wszystkich oskarżonych o fałszowanie paszportów, więc i nasz żołnierz wrócił znowu do domu i zamierzał upomnieć się o swe prawa. Żona ujrzawszy go struchlała. I Judasz, co go niewinnie oskarżył, zrozumiał, że teraz trzeba będzie za wszystkie jego krzywdy odpokutować. Ale nadrabiał miną. „Nie bój się,“ — uspokajał towarzyszkę, „damy sobie radę.“ Było to 30-go grudnia. Nazajutrz Jan wstawszy zrana powiada, że to ostatni dzień starego roku, trzeba go zatem wesoło przepędzić. Poszli więc od samego rana na przechadzkę, a potem wstąpili na poczęstunek do karczmy. Jan kazał dać kweterkę spirytusu i zaczęli pić. Po chwili wyjął z kieszeni jakiś proszek w papierku, wysypał sobie do kieliszka i wypił ze smakiem; resztę wysypał do jej kieliszka i ona wypila. Ale widać sobie nie pożałował, bo po chwili porwały go straszne boleści, aż zaczął się tarzać po ziemi. Kobieta widząc że to nie żarty, biegnie co tchu do Janowego brata, aby go ratował. Brat przyszedł do karczmy, chce chorego zabrać, ale ten iść nie może. Pobiegł więc po dorożkę, aż tu tymczasem i jego fałszywa bratową chwytają boleści. Zabiera więc oboje na dorożkę i wiezie do szpitala. Doktor wziął się wnet do ratunku, ale już było zapóźno. Wezwano księdza, lecz Jan nie doczekał nawet jego przybycia i zaraz ducha wyzionął. Kobieta otrzymała ostatnie namaszczenie i przemęczywszy się jeszcze kilka godzin, pod wieczór również zmarła. Taką to niespodziankę obmyślił Jan na zakończenie starego roku, taki sposób znalazł, aby uniknąć odpowiedzialności przed człowiekiem ciężko pokrzywdzonym. Ale zapomniał, że cięższa jeszcze odpowiedzialność czeka przed Bogiem, którego sądu w żaden sposób nie można uniknąć.

Na Pogrzebie — słuchaj, ta nieboszczka, to nie była zwykła sobie osoba, tak jak ja i ty; ona posiadała dziewięć języków. — O, dla Boga, jakże ona niemi w gębę obracała!?! —

Podczas wojny. Żołnierze zgłodnieli maszerując przez wieś, wołają przed gospodarzami: Gospośiu, dajcie nam mięsa i wódki! — Niema! — No, to chleba! — Niema! — Mleka! — Niema! Więc wody! — O, woda zaraz, zaraz, zaraz, jest! jest! —





Cz. III 480



Wydawczyni i kierowniczka redakcyi: Helena Hempel w Cieszynie.

Wychodzi 2 razy na miesiąc. — Kosztuje rocznie 1 złr. półrocz. 50 ct

Dom rodzinny.

Co jest dom? Czy to tylko te cztery ściany bielone, o małych okienkach, drzwiach skrzypiących, z ławą pod piecem stojącą i strzechą mchem porośłą, — albo też ów gmach okazały pełen salonów i strojnych komnat z przepychem urządzonych? I jedno i drugie jest domem. Tak samo domem jest ciemna ponura izdebka w podziemiach, gdzie rzadko kiedy zagości złoty promień słońca — albo też owa licha stancyjka na poddaszu, z której widać tylko czarne dymy z kominów i dachy wysokie. Od najędzniejszej lepianki, do najbogatszego pałacu, wszystko jest domem, lecz to słowo dom, prócz tego że oznacza mieszkalny budynek, ma jeszcze inne, wielkie znaczenie. Słowo to zawiera w sobie wyobrażenie spokoju, ciszy, szczęścia rodzinnego i tego serdecznego ciepła, jakie gdzieindziej spotkać trudno. Dlatego, gdy mówimy o kim: „bezdomny sierota“, to w określeniu tem czujemy jaki ból, żal i tęsknotę czuć musi ten nieszczęsny człowiek bez domu.

Jest on jak ptaszę bez gniazda, wiosna bez kwiatów, lato bez słońca, jak drzewina samotna na puszczy. Człowiek bez domu, to wieczny tułacz, wygnaniec, istota sama jedna wśród wielkiego świata.

To zbłąkany wędrowiec, wśród rozstajnych dróg życia; złamany jego żywot, rozbite szczęście. Zabrakło mu tego światła jakie daje domowe ognisko, ciemności go w około otoczyły, serce zamarzło w piersi, stracony ma cel życia, nie wie dokąd idzie i gdzie spocznie. Aż jakże wielu takich ludzi nieszczęśliwych wśród świata się znajduje!

A teraz zwróćmy myśl ku tym szczęśliwym, którzy dom rodzinny mają. Jednak z nich nie wszyscy umieją sobie stworzyć szczęście rodzinne, przy roztlonem domowym ognisku. Dla jednych dom jest jakoby świątynią, której strzegą od wszelkiego skażenia kłótnią lub upadkiem moralnym. Dla drugich, dom jest po prostu mieszkaniem obojętnem, składem martwych sprzętów, albo co gorzej ciężką niewolą. Jednym dom daje wszystko co najśłodsze, najczystsze i najpiękniejsze na ziemi, drugim daje tylko schronienie przed burzą i zimnem, pokarm codzienny dla ciała i — nic więcej. Dla jednych dom jest rajem, dla drugich najętym lokalem, dla innych wreszcie istnem piekłem. Jednych dom pokrzepia, uzacnia i uświęca, drugich trzyma obojętnie wśród ścian swoich, innych poniża i strąca w ciemności duszy i serca.

Ten dobry lub zły wpływ domu nie zależy od tego, czy dom jest bogatym pałacem lub nędzną chatką, czy się składa z wielkiej liczby zbytłownych komnat, czy też z jednej ubogiej izdebki, ale od tego, jaki duch w tym domu gości i napełnia jego ściany.

Dom, jako przybytek rodzinny, jest zespoleniem dwojga serc i dusz, które rozpalając ognisko życia, wnoszą w ten dom, ducha, myśl serce i dobrą wolę, a postawiwszy przed sobą cel obrany, dążą wspólnie do niego. Od tego, jaki będzie duch kierujący mężem i żoną, którzy mają w przyszłości stać się ojcem i matką rodziny, zależy owa świętość, wielkość i powaga domu. — albo też jego nicość, próżnia i upadek. Łatwo jest skleić małą lepiankę, łatwo też i bogaczowi wznieść ogromny pałac, ale stworzyć dom, który przez miłość zgodę i pobożność stanie się przybytkiem prawdy, światła i cnoty, potrafi ten tylko, kto żyje duchem bożym i miłością ludzi.

Niech dobrze rozważy, ile powinności bierze na swą głowę ten, co zakłada dom, ten, co ma być głową jego i ta, co ma być jego sercem.

Kto bez miłości rozpara domowe ognisko, nie utrzyma go, choćby własną piersią dodawał mu ciepła. Zagaśnie ono, jeśli nie będzie zasilane tym bożym płomieniem, który to co złe, żarem swym przetrawia, a oczyszczone grzeje i oświeca.

Więc dom, choćby najwspanialszy, będzie zimny i pusty, jeśli nie ma w nim tego serdecznego ciepła, — a licha lepianka zmieni się w bogaty pałac, jeśli będzie dla męża ciepłem, wypocznieniem po pracy, dla żony światem, dla synów bezpieczną przystanią, a dla córek szkołą wzorową.

Czemuż ta miłość i spokój nie w każdym gości domu, nie przy każdym płonie ognisku, nie zawsze dwie dusze i dwa serca kojarzy? Dla czego ojciec domu ucieka nieraz z niego, bo go wyrzuty, skargi i widok nierządu w nim tylko spotykają? Czemuż syn obcych sobie szuka kątów, bo w domu nie swój się czuje słysząc tylko klótnie, przeklinania i boską obrazę? Czemu córka płonie ze wstydu na widok zgorszenia i obrazu boskiej, albo też ze psuta złym przykładem, puszcza się sama na występne drogi? — Czemu?

Odpowiedzcie sobie na to sami rodzice, a zwłaszcza ty, matko domu, serce rodziny! Na twoją głowę spadnie odpowiedzialność za rozproszenie członków twego rodzinnego kółka, za rozstrzelanie promieni twego ogniska, które zagaśnie i popioły zimne tylko zostawi!...

Dom jest zarodkiem szczęścia nie tylko dla tych, którzy weń weszli i nowe życie zaczynają, ale i dla tych, co z niego wyjdą w świat i nowe rozpalic mają ogniska. To, czem matka ma obdarzyć dzieci swe, opuszczające dom rodzicielski, jest świętem dziedzictwem, podstawą i zasadą cnót, najdroższym skarbem duchowym na całe życie.

Gdy patrzymy na człowieka występnego, zbłąkanego, nie potępiajmy go, ale raczej zapytajmy z smutkiem: Może on nie miał „domu“ w dzieciństwie? Jakżeż on może być innym?

A gdy widzimy dom nowy, westchnijmy do Boga i prośmy Go, by nie na nędzę, hańbę i niedolę, ale na chlubę rodziny, dobro współbraci i służbę Bogu, dziatki swe wychował!

Zbłąkani łowcy.

Rycerz Jan, mieszkający przed kilkuset laty, w zamku burgundzkim, na wysokiej skale zbudowanym, właściciel rozleśnych majątności, srogim był panem dla swoich poddanych. Zięć jego, rycerz Godfryd, mało był od niego lepszym; to też okoliczni biedni ludzie drżeli z bojaźni przed nimi. Nie jeden z nich był ciężko pokrzywdzony na cześć i majątku, a zwłaszcza przez

to, że rycerze ci, odprawiając bez ustanku polowania, nieraz tratowali pola ubogich rolników.

Razu pewnego, obaj ci rycerze, późną nocą wracali z łowów. Chociaż znali dokładnie wszystkie drogi w tym lesie, tym razem jednak zabłądzili. Przez długi czas szukali jakiej znajomej drogi, ale im się nie udało; w końcu, gdy ciemna noc nadeszła, zaczęli kłać siaręzyscie.

Złe ich usposobienie jeszcze się tem pogorszyło, że byli głodni i spragnieni. Przeklinali złą chwilę, w którą do lasu wyjechali, rozżaleni tem, że w zamku czekała na nich obfita wieczerza, ciepły komin i miękkie łóżko, a tu muszą się tłuc po nocy i zimnie, zgłodniali i zziębnięci, wśród śniegu, który właśnie padać zaczął.

— Co za wściekła bieda nas dziś prześladowe! — srożył się rycerz Jan — zwierzyny żadnej dziś nie widzieliśmy, a teraz i przenocować niema gdzie!

— Szukajmy tylko drogi — odpowiedział Gotfryd.

Zsiedli z koni i badali różne znaki, po których myśliwi w lesie miarują gdzie są, lub w którą stronę mają się obrócić. Zapuszczając się w różnych kierunkach, probowali znaleźć ścieżkę, któraby ich na znajomą drogę naprowadziła, ale po niejakiem czasie poznali, że w tej stronie lasu po raz pierwszy się znajdują.

Tymczasem coraz później się robiło, nadeszła jedenasta godzina, a głód i zimno coraz więcej dokuczały zbłąkanym myśliwcom. Jechali powoli, zli i zniecierpliwieni, gdy nagle, Gotfryd zawołał z niejakim przerażeniem:

— Na miłość boską, ojcze! przyszło mi właśnie na myśl, że to noc Bożego Narodzenia!

Jan zatrzymał konia, zaśmiał się i rzekł z lekceważeniem:

— I cóż z tego? Czy noc Bożego Narodzenia ma być inna niż drugie? W czymże miałyby się różnić?

— Ale może powinniśmy byli pójść na pasterkę do kościoła, — rzekł Gotfryd. — A teraz Bóg nas ukarał i zbłądziliśmy. Żeby tylko co gorszego nam się nie wydarzyło. —

Z tych słów Gotfryda, poznać było można, że jeszcze nie stracił uczucia wiary; a choć teś sztydził z niego i drwił z jego zaniepokojenia, to przecie milczał i jechał dalej ze zwieszoną głową.

Jechali tak przez czas jakiś; Jan od czasu do czasu zadał w swój róg, a potem znów kłął na przemiany. Wreszcie widząc przed sobą migające światła i wieżę wznoszącą się ku niebu, wstrzymał konia i zawołał:

— To kaplica świętego Gralona. Gotfrydzie, wracajmy!

— Czegóż mamy się bać? odparł zięć Jana. — Owszem, zbliżmy się.

— Nie! nie! — zawołał stary grzesznik i porwawszy za uzdę konia Gotfryda, zawrócił się wraz z nim i napowrót w las wjechał. Pędzili tak kłusem przez czas długi, uciekając od kaplicy, lecz niespodzianie ujrzeli ją znów przed sobą.

I znów zwrócili się i uciekli i to samo im się wydarzyło. Tak trzy razy próbowali uciec, ale w którąkolwiek stronę się obrócili, zawsze kaplica tańczyła przed nimi.

Wtedy, nie mogąc już się dłużej opierać, zbliżyli się zwolna.

Wielkie okna kaplicy, jeszcze większe im się wydały, a jasność z nich bijąca, obejmowała ich i jakby zapraszała, aby weszli do środka.

Z wnętrza słyhać było od czasu do czasu, szmer modlitw odmawianych i dźwięk pieśni ku niebu się wznoszących.

Rycerze stanęli opodal i egarnęła ich obu jakaś wielka trwoga. Nagle usłyszeli wyraźnie głos kapłana przemawiającego do zebranych.

Gotfryd zawołał nagle:

— Słyszysz ojcie, jakieś jęki żałosne? to pewnie głosy dusz w czyśćcu, które nas ostrzegają.

— Głupstwo! — (drzeł stary rycerz — to wicher świszcząc po gałęziach. —

I jechali dalej. Po paru minutach, Gotfryd znów z przerażeniem wykrzyknął:

— Biada nam! gwiazdy blednieją i czarne sępy nad nami się unoszą!

Jan odrzekł:

— Chmury się zbierają i śnieżycą będzie większa. Mówisz tak, jakbyś był pijany, a przecie nie mamy do picia.

Po raz trzeci Gotfryd znów powściągnąwszy nagle konia, zawołał w przerażeniu:

— Teraz już się nie mylę. Na drodze przed nami widać kule ogniste. Biada nam, biada!

— Tchórze przeklęty! — odrzekł teść pogardliwie — czyż nie widzisz, że to światło pochodzące z jakiegoś domu i że nakoniec dostaniemy co jeść i pić.

Jadąc dalej, dostali się na wielką polanę i ujrzeli wąskie strumienie światła, które rozpraszały ciemności lasu.

Tym razem jednak, rycerz Jan zatrwożył się czegoś i chciał konia zawrócić. Z głębi kaplicy słyhać było znów słowa kapłana:

— Bracia, oto Boże Narodzenie, Zbawiciel przyszedł na świat; Bóg ubogich, Bóg uciśnionych i nieszczęśliwych, pojawił się w postaci Dzieciątka w stajence pomiędzy wołem i osłem. Wszechmocna ręka jego poniży wywyższonych, a poniżonych wywyższy. Pokój ludziom dobrej woli, biada pysznym tego świata!....

Jan i Gotfryd pościadali z koni. Kapłan wewnątrz świątyni mówił dalej:

— Biada, biada, tym bogaczom, którzy nie przynoszą ulgi cierpiącym!..

Rycerze, jakby pod naciskiem siły niewidzialnej, padli na kolana i słuchając jeszcze czas jakiś to groźnych, to pocieszających słów kapłana, na kolanach wreszcie przyczolgali się do drzwi kaplicy, do połowy otwartych, rękami otwarli je na oścież, a czołgając się dalej na kolanach przez środek kościoła, zbliżali się ku ołtarzowi, a potem zatrzymawszy się, pokornie się pochylili, aż czoła ich dotknęły podłogi.

Liczni ich poddani, którymi kościół był wypełniony, ze zdumieniem i trwogą patrzyli na ten widoczny cud boży. Kapłan zaś, gdy zszedł z ambony, podszedł ku klęczącym rycerzom i podawszy im dłonie, podniósł ich i zaprowadził do własnej ich ławki, oddawna przez nikogo nie zajmowanej, potem przystąpił do ołtarza, ażeby drugą połowę mszy św. odprawić.

Prawdziwy ten cud boży stał się dla wszystkich widzialny: Zbawiciel odrodził się w dwu sercach, które go się były wyrzekły.

W dwa tygodnie później, stary rycerz Jan, przedtem srogi pan i rycerz zatwardziały, podzielił teraz majątek swój własny na dwie połowy. Jedną

połowę polecił swej córce do rozdzielenia między ubogich, a drugą przeznaczył na wybudowanie wielkiego klasztoru, w pobliżu kaplicy św. Gralona. W klasztorze tym, rycerz Jan pobożnie dokonał żywota, pod imieniem brata Jana z zakonu św. Gralona.

Godfryd, zięć Jana stał się później sławnym przez swą dobroczynność i łagodność, więc pamięć tych dwu nawróconych rycerzy czczoną była przez czas długi, tak jak wprzód, wzmianka o nich wywoływała u wszystkich zgrozę i obrzydzenie.

Dziwne są zrzádenia Opatrzności !

Pod krzyżem.

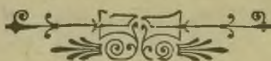
W krzyżu nadzieja, w krzyżu zbawienie,
W krzyżu pociecha i odpocznienie,
W krzyżu ratunek i wsparcie silne,
W krzyżu mądrości prawdy niemyłne.

Więc idź do krzyża, gdy ból cię gnębi,
I świat swym fałszem serce twe ziębi,
Gdy ci łzy gorzkie z ocz ciągle płyną,
Krzyż ci pociechą będzie jedyną.

Nie mów, że Bóg ci daje nad siły
Nieść od kolebki krzyż do mogiły,
Lecz wzmacniaj ducha — posil go cnotą,
Krzyż ci da szczęścia pochodnię złotą.

Temu krzyż ciężki — kto jak morderca,
Wytepił wszystkie cnoty wśród serca,
Kto zabił wiarę — nie zna miłości.
Żyje bez jutra wiecznej przyszłości.

Ale kto kocha i wierzy szczerze,
Ten krzyż w ramiona bez trwogi bierze,
Bo wie, że w krzyżu cisza, zbawienie,
Pociecha, prawda i odpocznienie.





POD KRZYŻEM.

Znak krzyża uzdrowieniem chorych.

Jak wiemy, boleść i smutek są nieraz tak gwałtowne, że sprowadzają pomieszanie umysłu i odbierają nieszczęsnym dzieciom Adama, zdrowie duszy i ciała. I w tym wypadku, znak krzyża jest ratunkiem. Święty Anzelm, arcybiskup, w jednej ze swych apostoelskich podróży, uleczył znakiem krzyża niewiastę, która straciwszy rozum, popadła w szaleństwo.

To samo uczynił św. Bernard w Kolonii, gdzie przyprowadzono przed niego kobietę, która po stracie męża dostawała obłędu i w chwilach napadu chciała sobie odebrać życie, tak, że musiano ją zakuć w łańcuchy. Święty kapłan uczuł żywą dla niej litość. Uczynił nad nią znak krzyża i w tejże chwili rozum i spokój wróciły do jej umysłu.

Znak ten, taką samą siłę posiada i w innych chorobach, nawet tak trudnych do wyleczenia, jak konwulsye. Podczas podróży do Rzymu, św. Malachiusz przywrócił zdrowie pewnemu epileptykowi, położywszy znak krzyża na piersiach tego biedaka, który po kilka razy na dzień ulegał tej ciężkiej chorobie.

Święty Bernard podobny cud uczynił dla uleczenia jednej dziewczyny w Szampanii, która tak silnym ulegała cierpieniom, że pozbawiona była mowy. Sługa ten boży złożył nad nią ręce, uczynił znak krzyża, a dziewczę, uzdrowione zupełnie, przemówiło, wobec wielu zebranych świadków.

— „Leczenie trędowatych, jako i ja“ — rzekł Pan nasz Jezus Chrystus. Uczniowie jego ze czcią przyjęli te słowa, których moc boska przeszła odtąd w znak krzyża.

Gdy św. Franciszek Ksawery nauczał niewiernych w Indyace i sława jego imienia daleko w okół się rozszerzała, pewien trędowaty od wielu lat trapiiony tą nieuleczalną chorobą, zasłyszawszy też o nim, a nie mogąc pokazać się publicznie, błagał go, aby przyszedł do niego.

Św. Franciszek będąc bardzo zajęty, nie mógł uczynić tego, czego pragnął ów człowiek, ale posłał do niego jednego ze swych towarzyszy z poleceniem, aby zapytał trzykroć chorego, czy uwierzy w Ewangelię, jeśli zostanie uzdrowiony. W razie, gdyby przyrzekł nawrócić się, wysłaniec św. Franciszka miał trzykrotny znak krzyża nad nim uczynić. Wszystko się stało, jak święty zapowiedział. Zakładwie trędowaty przyrzeczenie złożył, ciało jego stało się tak czyste, jak gdyby nigdy zarażeniem nie było.

I straszliwa choroba raka, która od trądu jest jeszcze pospolitszą, bywała przez krzyż oddalana. Św. Augustyn opowiada o następującem zdarzeniu, którego był naocznym świadkiem:

W Kartaginie żyła bardzo pobożna niewiasta należąca do znakomitej rodziny, imieniem Innocencya. W łonie nosiła ona okropną tę chorobę, którą lekarze zawsze za nieuleczalną uważają. Aby przedłużyć życie dotkniętego tem nieszczęściem, wycina się raka z korzeniem, albo też, dla ulżenia choremu, używa się maści i plastrów rozmięczających. Wszelako, gdy choroba widocznie za śmiertelną była uznawana, nie dręczono już chorego bezpożyteczną operacją. Lekarz Innocencyi, który był serdecznym przyjacielem rodziny, odkrył jej całą prawdę, nie ukrywając niebezpieczeństwa. Niewiasta ku Bogu zwróciła się z modlitwą, jemu powierzając los swego cierpienia. Pewnej nocy,

niedaleko przed Wielkanocą, miała sen oznajmiający jej, aby się udała pod chrzcielnicę, od strony kobiet, gdzie czekały na chrzest katechumenki i prosiła pierwszej z nich jaka przy niej stanie, aby zrobiła jej znak krzyża nad dotkniętym zarazą członkiem. Innocencja uczyniła tak jak ją sen nauczył i natychmiast została uzdrowioną. Lekarz, który jej wprzód oznajmił, że nigdy już zdrową nie będzie, ujrawszy ją całkiem uleczoną, zapytał ją ze zdziwieniem, jakiego środka użyła ku uzdrowieniu. Opowiedziała mu co się stało; a on, przybrał wyraz twarzy tak obojętnej, iż niewiasta bała się, że wypowie jakie słowa ubliżające czci boskiej i rzekł: — „Myślałem, że mi powiesz coś nadzwyczajnego“. — Lecz widząc, iż Innocencja coraz niespokojniejszą się okazywała, dodał: — „Czyż to może kogo dziwić, iż Jezus Chrystus wyleczył cię ze straszliwej choroby raka, kiedy sam niegdyś wskrzesił od czterech dni zmarłego?“ — Sława tego cudu doleko się po świecie rozeszła, a świadkiem jego było całe miasto Kartagina.

Oto nowy przykład cudowny:

Talassysus, jeden z świętych pustelników, podróżując nocą, stąpił na śpiącą zmię. Obudzona nagle gadzina mści się wściekle, zagłębiając zęby w podeszwę wędrowca. Ten schyla się i prawą rękę wyciąga do rany. Zmija kasa go zajadła w tę rękę, następnie w lewą, która tamtą ratować chciała. Ugasiwszy swą zaciekłość przez zadanie dziesięciu ran, gad jadowity wciska się w swą jamę, a pobożny człowiek sam zostaje wśród lasu, bez ratunku ludzkiego, tylko z bolem okropnym. Lecz sługa ten boży prędko pomoc znajduje; oto westchnął do Pana niebios, przesłał mu krótką modlitwą, uczynił znak krzyża i wrócił do zdrowia.

Teraz opowiemy, jak znak krzyża i śmierć samą pokonał:

Gdy św. Dominik raz jednego miał kazanie w Rzymie, w dawnym kościele św. Marka, między słuchaczami znajdowała się pewna rzymska niewiasta, imieniem Guttadona, która z pobożności wielkie mając upodobanie w jego naukach, porzuciła w domu słabe dziecko, aby nie opuścić kazania. Za powrotem do domu, zastała dziecko martwe. Nie okazując swej boleści, zaniosiła dziecko do św. Dominika. Spotkawszy go w bramie klasztoru, położyła przed nim dziecko, padła na kolana i tonąc w łzach, błagała go, aby jej oddał syna. Święty poruszony litością, ukląkł i po krótkiej modlitwie, uczyniwszy nad dzieckiem znak krzyża, wziął je za rękę, a gdy powstało żywe i zdrowe, oddał matce, której polecił, aby o zdarzeniu tem milczała. Ona jednak w radośnem uniesieniu, rozpowiedziała o tym cudzie po całym Rzymie.

W życiu św. Jana Gwalberta czytamy, iż przebaczywszy mordercy swego brata, został zakonnikiem i otrzymał od Boga dar cudów. Znak krzyża był dla niego bronią cudowną, którą szatana pokonywał. Zbrodniczy zabójca i tu jednak nienawiścią swą go ścigał. Uzbrojony wraz z towarzyszami, napadł i zburzył klasztor, spalił kościół i śmiertelnie poranił zakonników. Święty Gwalbert nadbiegł i znakiem krzyża przywrócił ich wszystkich do zdrowia i życia. Przytoczyliśmy tu po parę przykładów uzdrowień z różnych miejsc i czasów. Gdyby chciano spisać wszystkie, nie starczyłoby miejsca i czasu. Święty Augustyn, Chryzostom, Cyryl, Eftem, Grzegorz, Paulin i stu innych świadków ze Wschodu i Zachodu, ze wszystkich czasów, dowodzą tysiącami świadectw, że ten cudowny znak boży, który dany nam jest jako środek uzdrowienia na wszelkie choroby, nie przestał nigdy przywracać wzrok niewidomym, słuch głuchym, mowę niemym, zdrowie słabym i życie umarłym.

Ktoby chciał temu przeczyć, musiałby z dziejów przeszłości, powydziarać karty na których o tem pisano, a napisać inne jakieś, któreby były jeszcze wiarygodniejsze, niż tamte.

Co zaś do zarzutu, iż znak krzyża nie zawsze odwraca wypadki i klęski, choć go ludzie dla ratunku używają, to według słów św. Chryzostoma nie jest tego przyczyną to, jakoby nie miał on tej władzy, lecz to, że nie zawsze jesteśmy łaski tej godni, lub że dla nas samych jest lepiej czasem, aby wiara nasza na próbę była wystawiona. Kto jednak wierzy silnie, ten nigdy zawiedzionym nie będzie.

Listy od Czytelniczek „Niewiasty“.

Od czasu istnienia naszej ukochanej „Niewiasty“, nie mogłam się zebrać na napisanie do niej choć słów kilku. Dziś to dopiero czynię, a na początek, krótko tymczasem piszę. Przyznam się szczerze, iż gdy do rąk to miłe piśmko wezmę, czytam je z przyjemnością prawdziwą, a o „porządkach w domu“ myślę też często. Mam kilka znajomych i krewnych, które po kilka razy, przysyła mi „Niewiastę“ czytają z wielkiem zajęciem, i tak, z rąk do rąk podawana ta gazetka, ma dużo czytelniczek, z których niektóre zapowiadają, iż zaprenumerują sobie oddzielnie „Niewiastę“ aby mogły ją rozszerzać jeszcze dalej,

Co do mnie, to pragnę, aby ta gazetka do każdego domu trafiła i aby każda z Sióstr Czytelniczek wczytywała się w nią i czerpała z niej dobre rady i nauki, bo tych potrzeba nam wszystkim, a zwłaszcza takim, które mało jeszcze bardzo mają oświaty, a tych, niestety, bardzo jeszcze dużo w naszych kulikowskich stronach.

Ubolewam nad tem, że w Kulikowie mało jest niewiast, które po polsku czytać umieją, bo prędzej niż inne, mogłyby się czegoś nauczyć, czerpiąc z dobrych książek i gazet oświatę. Ja sama, rusinka rodem, wszedłszy dopiero, przez wydanie za męża, w próg polskiego domu, zawdzięczam Bogu i Rodzicom mego męża, iż nabyłam jakiejś nauki, zwłaszcza z gazetek, ludowych, jakie przysyłałicie od najdawniejszych czasów z Waszego wydawnictwa.

Co do „Niewiasty“, to ucieszyłam się niezmiernie, gdy przed dwu laty, dostałam numer jej pierwszy na okaz, a potem dalsze, w których tak pięknie zastosowane przestrogi i nauki dla nas niewiast, jako żon, matek i córek. Jeszcze większa byłaby moja uciecha, gdyby nasza kochana „Niewiasta“ mogła, jak wspomniałam, znajdować się we wszystkich rękach tak polek, jak i sióstr rusinek, by korzystały z tego piśmka.

Mam w Bogu nadzieję, że wzięwszy się do pracy, zdobędę choć kilka naście nowych abonentek, pragnąc, aby nas w krótkim czasie przybyło liczne grono i w pracy tej nie zaspię.

Kończąc to krótkie moje pisanie i Panu Bogu polecam kochaną kierowniczkę „Niewiasty“ oraz wszystkie Siostry Czytelniczki, pozdrawiając je serdecznie.

Helena Trembecka z Kulikowa.

Złote ziarnka.

Wtedy największy spokój na ziemi zdobędziesz,
Gdy nie namiętnie pragnąć w tem życiu nie będziesz.

Gdy jesteś zasmucony, ucz się cierpliwości,
A gdyś szczęśliw i wesół, ćwicz się w roztropności,
Wtedy łatwiej wytrzymasz cios niespodziewany,
I uchronisz swe serce od śmiertelnej rany,
Bo się w tobie świadomość ta zbawienna zrodzi,
Ze się zbyt radować, ni smucić nie godzi.

Jeżeli lenistwo dzisiaj
Próżnowaniem się zabawi,
To lekkomyślność i jutro
Pracę odłogiem zostawi.

Więc nie odkładaj niebacznie
Z dnia na dzień swojej roboty
Bo w domu mieć będziesz nieład,
Nędzę i wieczne i zgryzoty.

Gospodarstwo.

O przechowywaniu mięsiwa. W różnych okolicach gospodarze różnych używają sposobów przechowywania wieprzowiny, aby jej na dłuższy czas starczyło i do jedzenia, i na okrasę. Jakże często jednak te sposoby są licha warte! Naprzykład jedni wysuszają mięsiwo tak, że potem trudno je i gotować, i jeść, a smaku nie ma. U drugich słonina, sadło i samo nawet mięso przechowane bardzo prędko gorzknieje (jejezeje). Niektórzy tak do tego przywykli, iż myślą, że właśnie tak być powinno, że owa gorycz to właściwy smak. Nie wiedzą, że tłuszcz i mięso zgorzkniałe staje się trucizną, i zwolna, a czasem to nawet i raptownie zdrowie człowiekowi psuje. Zawsze zaś ta gorycz sprawia to, że nie tylko sadło, słonina, mięso, ale i wszelkie spożyte razem staje się mniej strawne i nie idzie na pożytek, sił człowiekowi nie doda. Trafiają się jeszcze i tacy gospodarze, u których przechowywane mięsiwo i okrasa poprostu gnije, zaśmierdnie się, albo robactwo obrzydliwie w niem się lęgnie. Wszyscy tacy gospodarze, o jakich tu wspomnieliśmy, nie umieją przechowywać zdrowego mięsiwa; umieją tylko psuć je i marnować.

Jak wieprzowinę przechowywać najlepiej, będziemy właśnie pisali. Najpierw jednak przypominamy i radzimy, żeby każdy starał się urządzić w swej osadzie jaką taką lodownię. Wszak ona wiele nie kosztuje. Wykopać dół, z wykopanej ziemi podnieść ściany naokoło, zrobić na tem byle jakie wiązanie z drzewa, pokryć darniną, zrobić drzwiczki, a zimą nawieźć lodu i przykryć słomą — ot i lodownia gotowa. A o ileż w niej łatwiej wszelkie mięsiwo i nabiał w dobrym stanie do lata i przez lato utrzymywać!

Aby mięso i tłuszcz przechowywać, należy je przedewszystkiem dobrze posolić. Już i solone można utrzymać bardzo długo. Dla większej zaś trwałości, albo i dla smaczności, po soleniu następuje wędzenie.

Do solenia trzeba używać soli suchej, a więc wysuszonej w piecu czyli prażonej, i mialko utłuczonej.

Solenie słoniny. Soli uprażyć tyle, aby jej było po 2 łuty na każdy funt słoniny. Połec słoniny ponakrawać nożem prawie do samej skóry. Bróźda od bróźdy niech będzie o szerokość trzech lub czterech palców. Wszystką słoninę posypać solą i wcierać sól dobrze w nacięcia. Gdy dwa półcie są już tak posolone, położyć jeden na drugim, aby słonina była we środku, a skóra pod spodem i na wierzchu. Gdy jest więcej półci, to trzeci położyć na tamtych słoniną na wierzch, czwarty skórą na wierzch i tak dalej. Po ułożeniu wszystkich w jakim płaskim naczyniu, na przykład w nieckach, przykrywa się wszystko deską i naciska kamieniami. Co kilka dni trzeba całą kupę nie rozbierając, przewrócić tak, aby to, co było na wierzchu, poszło na spód. Po dwóch albo trzech tygodniach, dopiero rozebrać, półcie wystawić na wiatr, aby obeschły trochę, i zawiesić w suchem a czystem miejscu, gdzie zaduchu nie ma, ale dokąd także muchy i motyle nie mogą się dostać. Dla większej trwałości można też półcie teraz uwędzić. Ale trzeba pamiętać, że słonina wędzona dobra jest tylko do gotowania w niektórych potrawach, albo do jedzenia na surowo, jako okrasa zaś psuje najczęściej smak potraw. Dlatego niewędzona ma zawsze większą wartość. Jeśli zaś ją kto wędzi, powinien to czynić w dymie zimnym.

Słonina solona i bez wędzenia doskonale się przechowuje w jakim naczyniu lub skrzyni szczelnie zamkniętej. Może to być zwyczajna skrzynka z desek dobrze zbita, czysto wymyta wewnątrz, wytarta i wysuszona. Słoninę soloną trzeba pokrajać na takie kawały, aby je łatwo było do skrzynki popakować. Spód i boki skrzynki wysłać sianem jak najlepiej wysuszonym, każdy kawał słoniny w takież siano owijać i wkładać, a wszystkie puste miejsca i przedziały kłakami siana zapychać. Pakowanie powinno odbywać się w izbie suchej i czystej, przewietrzanej, aby zaduchu nie było. Gdy się skrzynka upakuje do pełna, a ściśle tak, że już nic w nią wetknąć się nie da, należy ją zabić wiekiem i wszystkie szparki smołą pozalepiać. Trzymać tę skrzynię w miejscu zimnem, najlepiej w lodowni, bacząc, żeby drzewo nie nasiąkało wilgocią. W lecie można wieko odbić i obejrzeć słoninę, a w razie gdyby się na niej wilgoć znalazła, obetrzeć, wysuszyć, znowu tak samo w świeżem, suchem sianie zapakować i zabić.

Ziemniaki jako pokarm dla koni. Jak wiadomo, ziemniaki nie są najpożywniejszym pokarmem. Wszelkiem ziarnem można się prędzej pożywić niż przez spożycie ziemniaków. To samo co do ludzi, da się zastosować i do koni, które ciężko muszą pracować. Ziemniaki mogą się wprawdzie przyczynić do lepszego wyglądu, a nawet do utuczenia, ale nigdy nie wyrobiają mu siły. Równie pewną jest rzeczą, że pokarm kartoflany dawany w znaczniejszej ilości, wywołuje kolki i inne cierpienia. Surowe ziemniaki spowodują podrażnienie kiszek i rozwolnienie; gotowane zaś, zaflegniają i zakwaszają żołądek.

Pomimo jednak tych wszystkich przytoczonych wad, ziemniaczana strawa ma przecież i swoje zalety. Uważać jednak potrzeba, aby w naczyniu była zawsze największa czystość, a jadło, aby trochę solić, dla lepszego sma-

ku. Sieczka, którą się miesza do ziemniaków, kraje się długa, aby jadło dobrze zgryzione i strawione zostało. Do miernej ilości ziemniaczanej strawy, przydany owies dobrze jest trawiony. Gdy daje się jej więcej, można dodać śrut jęczmienny albo groch, bo przy karmieniu ziemniaka, zawsze jakiś surowy pokarm, t. j. owies, groch lub jęczmień musi być dodany.

Tuczenie kur i innego drobiu odbywa się najprędzej za pomocą grochu. W tym celu czyni się co następuje: Groch nieprzydatny do spożycia dla ludzi, moczy się w słonej wodzie, wzięwszy go tyle, ile wystarczy do nakarmienia drobiu przez cały dzień i podaje mu się do jedzenia. Robi się to jak najczęściej. W kurniku musi się znajdować zawsze świeża woda do picia. W ten sposób drób najprędzej się utuczy. Gęsi dostają przez to wielką i białą wątrobę. Dobrze jest także dodawać do pokarmu proszku z węgla drzewnego, co się przyczynia do prędkiego wypasienia.

Karmienie drobiu Pokrzywy w tym czasie zbierane, w którym mają dojrzałe nasienie, kruszy się i miesza z papką otrębianą i podaje się dwa lub trzy razy tygodniowo.

Kurom powinno być często podawane nasienie konopi, które się bardzo do obfitego niesienia jaj przyczynia.

Cebula drobno pokrajana, pomieszana z mąką i dawana często, usuwa choroby drobiu. W czasie zimnych dni, okazała się zdrową strawa dawana na ciepło, czy to ziarno czy ziemniaki, czy same czy mieszane. Kukurudza, która jest jednym z najlepszych a najtańszych pokarmów dla kur, powinna być przed podaniem prawie upieczoną, ale nie zbyt gorącą, tylko ciepłą. Najlepszym pokarmem dla kur w zimnej porze, jest ciepła mieszanina z tłuczonych ziemniaków, z pszennych otrąb i z proszku z tartych makuch olejnych.

Kury do jakiego wieku trzymać aby korzyść przynosiły, nie można ściśle oznaczyć. Powszechnie mówią, iż po trzech latach trzeba kurę zabić, bo niewarto jej już żywić. Są tacy jednak, co mówią, iż do 4 lat daje jeszcze korzyść. Kury dobrego gatunku jeszcze w szóstym roku niosą obficie jaja, tak jak inne w trzecim roku. To jednak rzecz pewna, że skoro tylko kura źle się nieść zaczyna, zaraz ją zabić lub sprzedać na rzeź trzeba.

Lekarstwo na odsiedzenie. Kiedy od siodła albo od chomonta zrobi się koniowi na grzbiecie lub na kłębie rana, to obmywszy ją delikatnie czystą, letnią wodą, dobrze jest posypać kawą upaloną i miazgą zmieloną albo upalonym na węgiel i utłuczonym na miazgi proszek chlebem. Posypywana tem codziennie rana, po kilku dniach zwykle się już zabliznia i prędko się goi, bo taki węgiel osusza ją i niedopuszcza do zagniwania.



RADY DOMOWE.



Chronienie sera przed robactwem robi się najlepiej przez obmycie go wodą, w której był ugotowany pieprz na proch utarty. Po dwu lub trzech obmyciach, robactwo ginie bezpowrotnie.

Aby zabezpieczyć szyby przed zamarznięciem użyć należy następującego środka: na litr okowity bierze się 50 gramów gliceryny, zmiesza się dobrze i płynem tym naciera się za pomocą gąbki okno z wewnątrz. W ten sposób zapobiega się nie tylko zamarznięciu, ale nawet zapoceniu okna.

Srodek przeciw paczeniu się, kurczeniu i pękaniu drzewa. Drzewo przeznaczone do wyrobów, powinno się układać do silnego rozczynu soli kuchennej, przez co, drzewo takie, ani od słońca, ani od innych zmian powietrza nie ucierpi.

Lakier na uprząż dla koni. Miesza się 1 i pół litra spirytusu, 20 dekagramów szelaku, 10 dekagramów weneckiej terpentyny, 3. dekgr. oleju lawendowego i 2 dekgr. sadzy. Szelak i terpentyna rozpuszczają się w spirytusie, jeżeli takowy na piecu ogrzejemy. Po ostudzeniu, dosypać trzeba resztę wymienionych części, poczem zlać do flaszek, które silnie należy zakorkować.

Odświeżanie zczerniałego żelaznego naczynia, które wprzód było niebieskie, bez naruszenia glazury. Mieszanina złożona z potażu i chlorku wapna, (których można dostać w aptece) rozpuszcza się w 3 litrach gorącej wody, poczerniały garnek wadza się do owej mieszaniny i wszystko stawia się w jakim ciepłym miejscu, naprzykład na przypiecku. W krótkim przeciągu czasu naczynie przybiera swą pierwotną niebieską barwę.

Wywabianie plam z wosnianych materyj. Na plamę nalewa się kilkakrotnie po parę kropel słodkiego mleka i każdym razem, kawałkiem waty się wyciera. Następnie, plamę wymyć trzeba w mydlinach i wycierać suchą szmatką.

Jeżeli plama jest dawniejszą i stwardniałą, musi mleko przez dłuższy czas na plamie pozostać.

Płynny klej sporządza się w następujący sposób. 6 części kleju rozpuszcza się w 16 częściach wody, a do tego dodaje się 1 część kwasu solnego i 1 i pół części witryolu cynku (których także można dostać w aptece). Mieszanina ta ogrzewa się w mocnem gorącu, a potem tą gęstą ciecz zlewa się do naczynia.

ROZMAITOŚCI.

Opiekunka nieszczęśliwych. Jest w Warszawie przy ulicy Nowowiejskiej przytułek dla chorych i sparaliżowanych, których uleczyć niemożna. Założyli go i utrzymują swemi darami ludzie dobroczynni. Teraz zmarła w tym przytulku jedna z jego pracownic i prawdziwych opiekunek, Aniela Izdebska. Była to uboga wiejska dziewczyna. Z dobrej i własnej woli poświęciła się ona pielęgnowaniu nieszczęśliwych i przez lat siedmnaście pełniła przy nich najcięższe posługi, a żadnego wynagrodzenia za to nie brała. Powiadają dziś o niej, że wszyscy w przytulku ją pokochali za niestrudzoną cierpliwość, łagodność i pokorę, z jaką znosiła wszelkie przykrości. Chorzy uważali ją za prawdziwego anioła, który im cierpienia i nieszczęsną dolę osładzał. To też śmiercią jej bardzo są zasmuceni.

Obłudne nawrócenie. We wsi Bliskowicach pod Rachowem, jedna kobieta wyuczyła dziesiętnastoletniego żydka zasad wiary świętej i posłała go do Sandomierza, gdzie przebywszy czas jakiś u księży, przyjął chrzest św. Po roku, gdy zdawało się, że się już dostatecznie w wierze umocnił, oddano go na naukę do ślusarza. Ale on, jak się okazało, został chrześcianinem nie z przekonania, tylko w nadziei, że się nim chrześcianie zaopiekują i całe życie darmo żywić będą. Gdy więc zobaczył, że trzeba będzie samemu praco-

wał na kawałek chleba, uciekł do żydów do Ostrowca, bo ojcu bał się pokazać. Żydzi go przyjęli i włóczyli po swoich rabinach, a w końcu odesłali do ojca. Ten przyjął go niby jako żyda, choć dobrze wiedział, że on jest katolikiem. Chrześcian bardzo to drażniło, że ów młodzieniec od nich stroni, do kościoła nie chodzi, a nawet na pozdrowienie chrześcijańskie nie odpowiada. Wtem rozszła się wiadomość, że rodzice chrzestni zapoznawali go do sądu w Lublinie. Nowoochrzczony znikł i czas jakiś nie wiadano w okolicy, co się z nim dzieje. Aż oto Bliskowiczanie będąc którejs niedzieli na nabożeństwie w kościele parafialnym w Świeciechowie usłyszeli nagle w zakrystyi jakieś ostre upomnienie. Wszyscy zwrócili oczy w tę stronę, a tu z zakrystyi wyprowadzają przed wielki ołtarz owego zapiznańca. Przed nim szedł ksiądz proboszcz. Kiedy stanęli przed ołtarzem, obecni usłyszeli donośnym głosem wymówione słowa: „Uklęknij tu, niegodziwy przeniewierco wiary świętej: Patrz, kogós obraził! Tego Pana Jezusa deptałeś, i poniewierałeś wiarę Jego świętą!“ Na te słowa w kościele rozległ się głośny płacz. Ksiądz proboszcz nakłonił go do uklęknięcia i kazał mu się modlić. Ale pożałował, że Boże, jaka była jego modlitwa! Powiedział, że nie umie się przeżegnać, i pacierza mówić nie chciał, tylko siadł sobie na nogach i przez całe nabożeństwo obracał czapkę w rękę. Był potem przez tydzień na plebanii. Ale niemożna było na nim nic wymódz i odesłano do domu.

Dla przestrogi matkom. Felicja Świerczowa, żona wyrobnika we wsi Politolowie, załatwiwszy się z robotą domową, dała świni jeść i wyszła na pogawędkę do kumoszek. W domu pozostało tylko półroczne dziecko uśpione. Swinia weszła do izby, ściągnęła dziecko z łóżka na ziemię, odgryzła mu dwa paluszki u ręki i dwa u nogi, i pokaleczyła ciało w kilku miejscach. Musiała przytem podrzucać dziecko i widocznie pobiła mu główkę, bo niebawem w parę godzin po wypadku zakończyło życie. Rodzice zostali pociągnięci do sądu.

Michalina Zielińska, żona robotnika z browaru w Łodzi, wychodząc z obiadem dla męża, zostawiła w domu dwóch synków: 7-letniego Władka i 3-letniego Franasia. Trzeci, najstarszy, był w szkole. Wracając o południu do domu usłyszał krzyk, a kiedy drzwi otworzył, ujrzał coś okropnego. W izbie pełnej dymu paliły się różne sprzęty, po środku zaś jej, jeden z chłopaków leżał martwy, a drugi wił się z bólu strasznie popalony. Zbiegli się ludzie, ugasili ogień i odwiezli dziecko do szpitala.

Podobny wypadek stał się we wsi Gadce. Czteroletni synek wyrobnika Gręba, pozostawiony sam w izbie, zapalił na sobie sukienkę, a objęty płomieniami rzucił się na łóżko i zaczął się tarzać po sienniku. Kiedy na krzyk jego nadbiegli sąsiedzi, cała pościel i łóżko były w ogniu. Zalano ogień i wydobyto chłopaczka, ale już nawpół spalonego. Biedak niebawem ducha wyzionął.

Mimowolny zabójca. Dziesięcioletni Ernest Markowec, syn konduktora kolejowego, zabił przypadkiem własną, swoją matkę 35-letnią Filomenę Markowec. Stało się to w ten sposób, że chłopiec bawił się starą fuzją, kupioną przed paru dniami przez ojca. Sądząc, że broń nie nabita, pociągnął za cyngiel. Nagle nastąpił strzał — i cały nabój trafił nieszczęsną jego matkę, która pracowała w tym samym pokoju. Biedaczka postąpiła parę kroków — i padła nieżywa. Dzieciak, mimowolny sprawca zabójstwa, o mało co nie oszaleje z rozpaczy.

Jak się to nieraz z pieniędzmi robi. Stanisław Gościński ze wsi Ciechomic (gub. warszawskiej) sprzedał na jarmarku w Gąbinie jałówkę za 50 rubli. Obawiając się, aby mu kto pieniędzy z kieszeni nie wyciągnął, wpuszczał je w spodnie tak, że wpadły aż do cholewy od buta. — No, ztamtąd nikt mi już ich nie wyciągnie — myśli gospodarz i spokojny o swe pieniądze chodzi sobie po jarmarku. Zona też wkrótce sprzedała przyniesiony towar, więc niebawem wracają ku domowi. Idą przez las, ale gospodarz czuje że mu buty bardzo nogi nacierają. Siada więc przy drodze i rozzuwa się. Zrobiło mu się odrazu tak lekko i dobrze, że zarzuciwszy buty na ramię, rażno degonił żonę, która znacznie go już wyprzedziła. Po chwili żona pyta, gdzie ma pieniądze za jałówkę. Gospodarz struchlał, bo przypomniał, że pieniądze były w cholewie od buta. Zagląda do butów, ale oba puste. Wraca więc czempredzej w to miejsce, gdzie się rozzuwał. Myślał, że pieniądze jeszcze tam leżą. Ale gdzie tam! przepadły jak kamień w wodzie i już ich nie odzyskał. Droga tą wracało za Gościńskimi dużo ludzi, więc ktoś nieuczciwy znalazłszy pieniądze i przywłaszczył je sobie.

A we wsi Komornikach, w guber. Piotrkowskiej, Andrzej Słomka dostał przy podziale spadku 80 rubli. Z tego dziesięć rubli zaraz komuś pożyczył, a resztę nosił czas jakiś przy sobie. Obawiając się jednak, żeby pieniądze nie zgubić, oddał je żonie do schowania. Kobieta myślała długo, gdzie by je najbezpieczniej umieścić; wreszcie owinęła w szmatę i włożyła do garnka z popiołem. Po kilku dniach, zapomniawszy o pieniądzach, zasyłała do tegoż garnka popiół świeżo z pieca wygarnięty z niedopalonemi węglami. Od żaru zapaliły się szmaty i swąd spalenizny rozszedł się po izbie. Wtedy dopiero gospodyni przypomniała sobie o pieniądzach. Biegnie do garnka, aż tu jeno szczątki spalonej szmaty i papierków. Nieboga o mało z żalu rozumu nie straciła.



OGŁOSZENIA.

Odnaczona medalem państwowym z wystawy w Bielsku w r. 1890.

Pracownia brązownicza

Fr. Maryniaka w Końskiej,

(poczta Trzynieć na Śląsku).

połącza swego wyrobu kościelne lichtarze, krzyże, dzwonki ołtarzowe i wszystko co wchodzi w zakres tego rzemiosła. Przyjmuje tanio wszelkie reperacye oraz przedmioty do niklowania, srebrzenia i złocenia.

Odpow. redaktor **Franciszek Krukowski.** — Druk K. Studenckiego w Czacy.